

Marta Krajewska
Zaszyj
oczy wilkom



Marta Krajewska

Zaszyj oczy wilkom



[Kup książkę](#)

Zaszyj oczy wilkom

Copyright © Marta Krajewska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-108-6

epub ISBN 978-83-7995-109-3

mobi ISBN 978-83-7995-110-9

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Ilustracje w tekście: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

i www.eBook.MadBooks.pl

Kup książkę

Spis treści

Prolog	7
Rozdział 1. Wilcze święta	11
Rozdział 2. Uciekaj, opiekunko!	33
Rozdział 3. Kiedy załśni twarz Chorsa	61
Rozdział 4. Mieć to już za sobą	89
Rozdział 5. Znikąd pomocy	115
Rozdział 6. Przyciągam potwory	143
Rozdział 7. Nadchodzą czasy, których nie chcę oglądać	171
Rozdział 8. Gdybyś był mój	197
Rozdział 9. Nawet śmierć	231
Rozdział 10. Nie zapominaj	263
Rozdział 11. Pokarz swego pana!	291
Rozdział 12. Nikt o nas nie wie	321
Rozdział 13. Myślałam, że zdążę	355
Rozdział 14. Jeśli on zginie	377
Rozdział 15. Stado potrzebuje przywódcy	413
Rozdział 16. Zabiję, co do jednego	453
Rozdział 17. Dziecko	485
Epilog	503

Prolog

Wpadła w sam środek kręgu, którym otoczono obcych.

– Stać wszyscy! – krzyknęła najbardziej władczo, jak potrafiła. – Nikt tu nikogo nie zabije bez mojej zgody!

Wieśniacy zamruczeli i zaklęli, ale zatrzymali się w pół ruchu. Ciepłe smugi słońca wkładały się między chaty, niepewne, czy powinny rozproszyć szarość świtu.

Trzej uzbrojeni obcy przestępowali z nogi na nogę w napięciu, plecami przyparci do studni pośrodku wsi. Venda odruchowo poszukała wzroku najmłodszego i najrozsądniejszego z nich.

– Niech to wszystkie demony! – mruknęła wściekle pod nosem.

– Odstąp, opiekunko! – Stojan potrząsnął głową. – Załatwmy to raz a porządnie.

– Porządnie to ja ciebie zaraz załatwię, staruchu! – warknął agresywnie jeden z obcych. – Będiesz był jak twoja stara, jak ją rznąłem wczorajszej nocy.

Venda posłała mu mordercze spojrzenie. Matka Stojana nie żyła od bardzo dawna.

– Cicho, Vidkun! Słuchajcie, ludzie! Nie dajcie się ponieść, nie mamy pewności, że to któryś z nich.

Gdzieś z prawej dochodził lament żony zabitego mężczyzny, szarpiąc sercem i odsyłając zdrowy rozsądek do wielkich węży Welesa. Tłumek też to słyszał, ział nienawiścią i chęcią zemsty.

– A kto inny? – parsknął Tinne. – Tyle lat tu wilkołaka nie było! Ojciec jak żyje żadnego nie pamięta, a one się z brudu i słomy nie rodzą.

– To któryś z nich! – Oskarżycielsko wytknęła palcem żona Tinnego.

– Spokojnie! – wrzasnęła Venda, próbując ich wszystkich przekrzyczeć. – Nawet jeśli, nie wiecie, który! No bo chyba nie wszyscy trzej, co?

– Nieważne! Jako jednego ich na Cmentarz Wyklętych wysłamy – zapalił się znów Stojan. – Brat! Masz jakiś srebrny sztylet?

Wywołany brat Stojana, ogromnej postury kowal Zdamir, strzyknął śliną gdzieś pod buty Vendy i wbił w nią nieprzyjemny wzrok.

– Wpierw, bracie, trzeba by się zastanowić, na kim go użyć. Na obcych czy na wilkołaku?

Coś w jego spojrzeniu zmroziło dziewczynie krew w żyłach.

– Jakże to? – zdziwił się Stojan. – Co ty, bracie, nie wierzysz, że to oni? Z opiekunką się nagle zgadzasz?

Wielki chłop wzruszył ramionami z ociąganiem.

– Ano, wyryjcie jaką krechę na studni na pamiątkę albo co, bo chyba będzie i tak, że się z dziewczyną zgodzę.

Zdamir zrobił efektowną pauzę, nim w końcu mlaśnął głośno i powiedział:

– Ogłupić się wszyscy daliście. – Powiódł wzrokiem po zebranym ludku. – Chyba nie zapomnieliście, że te ścierwa dopiero po roztopach się tu z pomocą wszystkich demonów przywlokły. A wilkołak...

Zawiesił głos i rzucił opiekunce krzywy uśmieszek, od którego znów przeszły ją ciarki. Już wiedziała, że z jego kolejnymi słowami spełnią się jej najgorsze przewidywania. Ktoś musiał się w końcu okazać mądrzejszy niż inni. Ktoś musiał poskładać pozornie błahe plotki w jedno. I tym kimś, jak na złość, musiał być kowal.

Zmarszczyła tylko delikatnie brwi i prawie zaklęła, kiedy ogłosił tryumfalnie:

– Wilkołak przecie krąży między nami od samych Szczodrych Godów! Prawda, opiekunko?

Rozdział 1

Wilcze święta

W tamten pierwszy po powrocie DaWerna poranek opiekunka i wilkar obudzili się w ciepłym posłaniu, wtuleni w siebie rozkosznie.

Świeży śnieg spowijał dolinę w Górach Północy, iskrząc się w promieniach słońca, którego tarcza wytaczała się wolno zza szczytów. Zalewała pomarańczowym blaskiem skute lodem brzegi jeziora, zasypała nie dróżki i przytłoczone czapami śniegu chaty. Na tle wszechobecnej bieli domostwa tuliły się do siebie niczym stadko puchatych owiec, po brzuch brodzących w zaspach. Gdyby nie ulatujący przez dziury w strzechach dym, można by pomyśleć, że wioska zamarzła, zapadła w zimowy sen. Jednak wewnątrz chat życie rozciągało się na długo przed późnym, zimowym świtem.

Przygotowania do Szczodrych Godów trwały od kilku dni, ale teraz naprawdę ruszyły z kopyta, bo nie było już czasu, żeby odłożyć niechcianą robotę na jutro. Jeśli przez kolejnych kilka dzionków chciało się

wypoczywać do góry brzuchem, trzeba było najpierw solidnie popracować. Gospodynie szykowały smakowitości na wieczorną ucztę, mężczyźni pomagali dzieciarni przyozdabiać chaty, przy okazji pozwalając sobie na żarty, uszczypliwości i śmiech. W kąt izby wstawiali pierwszy ścięty tego roku na polu snopek zboża. Na wiosnę z ziaren tego właśnie snopka zaczęły siew, oddając matce Mokoszy co jej należne i domykając wieczny krąg życia.

U powały podwieszano świerkowe podłazniczki oraz pająki, powiązane zmyślnie ze słomek i suszonych kwiatów. Ściany przyozdobiono zrobionymi w podobny sposób łańcuchami. Na co dzień odymione, ciemne wnętrza chat wypełniły się teraz ozdobami, kolorami i odświeżonym nastrojem.

Jak to zwykle bywa, w niejednym domostwie natłok pracy skończył się wzajemnym warczeniem na siebie, a nawet kłótnią, ale to wszystko odchodziło w niepamięć tak szybko, jak się pojawiało. Powiadano, że jakie Szczodre Gody, taki cały rok, a kto by tam chciał do przyszłej zimy burczeć na męża, ganić dzieciaki i złorzeczyć na pałętającego się pod nogami kota?

Venda miała już gotowe ofiarne kołaczki i mieszanki ziół, zadbała też o wilcze skóry do wieczornego obrzędu. Bardzo lubiła Szczodre Gody, jednak tego roku nie czuła spokoju, jakim zawsze ją napawały. Zamyślona wieszała nad oknem słomianego pająka.

Wilkar obserwował dziewczynę w milczeniu, skubiąc stojący w kącie snopek.

– Przestań się martwić. – Nie wytrzymał w końcu.

Venda ostrożnie zeszła ze stolika, na który musiała się wspiąć, by zawiesić ozdobę.

– A, tak sobie myślę o godach i smutno mi się zrobiło.

– Myślałem, że to wesołe święta.

– Tak, zawsze takie były. Ale jak sobie pomyślę, co robiłam w poprzednie Szczodre Gody, to jakoś trudno mi się śmiać. Obrzędem przewodził opiekun i wydawało mi się, że będzie tak zawsze. Imir też żył, razem przystrajaliśmy gospodę na wieczorną ucztę. Miałam pusto w głowie, a wydawało mi się, że mam ciężkie życie, rozumiesz? Wern, możesz przestać niszczyć moje ziarno?

Spojrzała znacząco na jego dłonie międlące kłos. Uśmiechnął się rozbrajająco, otrzepał ręce nad snopkiem, jakby to miało sprawić, że ziarno na powrót przywrze do kłosów, i odruchowo odsunął się o krok.

– Kępa zboża w kącie chaty – mruknął. – Wy to macie zwyczaj.

– To jest ważne. Ziarno łączy jeden rok z drugim, świadczy o ciągłości świata! Mokosz czuwa, żebyśmy dostawali od ziemi plon, na jaki zasługujemy, a my w zamian szanujemy ją i czcimy.

– My tam nic nie sialiśmy i jakoś żyliśmy – bąknął. Nie była w nastroju na dłuższe tłumaczenia.

– Dobrze, ale chyba też okazywaliście szacunek bogom, prawda? – zapytała tylko od niechcenia. – Uszanuj, proszę, że ja oddaję cześć moim. Od tego tu jestem.

DaWern zbliżył się powoli i przytulił ją mocno.

– Musisz być w bardzo złym nastroju, skoro nawet nie chce ci się gderać – mruknął w jej włosy.

Odetchnęła ciężko.

– W czasie Dziadów było mi trudno, ale byłam tak skupiona na znalezieniu sposobu, żebyś wrócił, że miałam czym zająć myśli. Teraz czuję tak wielką stratę. W święta bardziej niż zwykle brakuje tych, którzy nigdy nie wrócą. Nie wiem nawet, gdzie są! Opiekun przyjął naszych bogów, ale leży na Cmentarzu Wyklętych, więc nie wiem, dokąd poszedł jego duch. A Imir? Zabrali go wodni bogowie. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek ich spotkam, nawet jeśli sama trafię do Nawii.

Mężczyzna nie wypuszczał jej z objęć. Milczał, słuchając i poważniejąc z każdym zdaniem. Kiedyś tęsknił równie mocno, całymi miesiącami i latami, nie tylko za utraconą rodziną, ale za całą rasą. W przeciwieństwie do zielarki wiedział doskonale, gdzie są jego pobratymcy. Jeszcze niedawno był tam z nimi, choć z tego miejsca zapamiętał jedynie chłód i wyrywające serce z piersi pragnienie powrotu.

– Posłuchaj mnie – westchnął, gdy Venda zamilkła na dłuższą chwilę. – Nie wszystko w tym roku było złe. Jesteś teraz silniejsza, mądrzejsza, rozsądniejsza, zrobiłaś dużo dobrego i twoi bliscy, gdziekolwiek są, byliby z ciebie bardzo dumni. Ale nie sądzę, żeby podobało im się takie biadolenie i chlipanie po kątach, więc zbieraj się do kupy, bo masz te jakieś tam Gody do odprawienia i, zdaje się, wilki do przegonienia, czy tak?

Venda pociągnęła nosem.

– Nie chlipię po kątach – burknęła.

– Racja, bo w kącie stoi ten snopek.

Zaśmiali się krótko, choć żart nie był może najlepszy. Powoli rozluźnili uścisk i dziewczyna poprawiła rozczochrane włosy.

– Poza tym – dorzucił jeszcze wilkar – dzięki temu wszystkiemu, co się wydarzyło tego roku, masz teraz mnie.

Wiedziała, że miał rację. Ich związek nie miałby szans zaistnieć bez wszystkich tych złych rzeczy, a i uzależnianie się nad sobą nie pomagało. Była opiekunką i najsumsuszniejszym, co mogła zrobić, było wypełnianie swoich obowiązków i czczenie pamięci tych, którzy odeszli.

Wrócili do sprzątania i zdobienia izby. Nim się spostrzegli, nadeszła pora, gdy Venda musiała zejść do wsi i rozpocząć obrzędy.

– Mam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy będziemy razem wychodzić do ludzi – powiedziała, narzucając ciepły czerwony płaszcz.

DaWern ściągnął koszulę przez głowę, szykując się do przemiany.

– Może – odparł wymijająco. – Na razie idź do swoich. Ja muszę pójść w las, oddać cześć swoim bogom.

– Powiesz mi kiedyś, co robisz?

Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło na pożegnanie.

– Może – powtórzył. – Może kiedyś to ty pójdziesz ze mną. Na razie jestem ostatni, więc służę Wielkiemu Wilkowi i jako wyznawca, i jako kapłan. Mam obowiązki, tak jak ty.

Venda nic nie odpowiedziała. Nie mogła powstrzymać myśli, że jeśli DaWern zacząłby czcić jej bogów, Pan Lasu musiałby w końcu odejść tam, dokąd odchodzą

umierający bogowie. Każdy z nich żyje tylko dotąd, dokąd trwa o nim pamięć.



Po najkrótszym dniu roku noc zapadła tak szybko, że gdy rozpoczęto rytuał na cmentarzu, od dawna panowały ciemności. Wśród kurhanów płonęły ogniska, budząc do życia cienie, z których każdy mógł się okazać duchem kogoś bliskiego, chcącym ogrzać się w ciepłym płomieniu. Ludzi przybywało, a Venda stała mniej więcej pośrodku ziemi zmarłych i czekała. Wielkie ognisko przyjemnie grzało jej plecy, tak że nawet zrzuciła z ramion płaszcz, zostając w grubej, wełnianej sukience.

Lubiła ten moment każdego rytuału, dlatego uśmiechała się leciutko do siebie, czując, że znajduje się wreszcie na swoim miejscu.

– Witajcie nam, dziadowie! – rozpoczęła modlitwę, gdy nadszedł czas. – Przychodźcie ku nam! Zapraszamy na ucztę! Ogrzejcie się na chwilę, posmakujcie piwa i jadła, nacieszcie oczy widokiem waszych potomnych. Chcemy z wami świętować Szczodre Gody, bo jesteście i zawsze będziecie nam bliscy. Pamiętamy o was, wspominamy i czcimy. Przychodźcie, prosimy do nas!

Upiła z kubka piwa, po czym chlusnęła resztą w płomienie, dzieląc się z duchami. Ogień zasyczał. Żerczyni odwinęła z pięknie haftowanej ściereczki kołacz, ugryzła kęs, a resztę cisnęła w ślad za piwem.

Ludzie przy kurhanach swoich bliskich robili to samo, dzielili się jedzeniem ze sobą nawzajem i po-

przez płomienie ognisk posyłali stawę i napitek duszom. Niektórzy mówili do swych zmarłych, wypatrywali znaków ich obecności, inni śmiali się głośno, przysiadając u podnóży kopczyków.

Spotkanie ze zmarłymi należało do radosnych wydarzeń. Jeśli tylko zadbało się wcześniej o godne przyjęcie duchów i nie drażniło się ich, przybywały w dobrych nastrojach i, jak wierzano, przychylnie spoglądały na swych potomków.

Patrząc na biesiadujących, Venda znów poczuła się samotna. Nie miała na tym cmentarzu nikogo, nie miała więc z kim porozmawiać na kurhanach. Wszyscy jej bliscy zmarli tragicznie i choć mogła zakładać, że ich dusze również odwiedzają dziś świat żyjących, mimo wszystko myśl o ponownym spotkaniu opiekuna czy Imira napawała ją przerażeniem. Obaj przyszli do niej po śmierci i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała przeżywać tego ponownie.

Gdy poucztowano z duchami, przeniesiono świętowanie do gospody, zapraszając przodków, by w miarę chęci towarzyszyli żywym i wraz z nimi przywitali nowy dzień, wreszcie dłuższy od poprzedniego.

– Światło pokonuje dziś ciemność i daje nam nadzieję na lepsze jutro! – Opiekunka wygłosiła toast, wznosząc kubek z miodem pod powałę karczmy. – Znowu przetrwamy zimę, jak setki przed nią. Oby mrozy nie skuły morza. Oby ci, których nie chcemy wymieniać na tej uczcie z imienia, pozostali za Sinymi Wodami. Oby Weles chronił nas przed nimi. Oby Rod opiekował się nami, bo wszyscy jesteśmy jego dziećmi,

powołanymi do życia z kamienia. Obyśmy szczęśliwie doczekali kolejnych Szczodrych Godów.

Wychyliła kubek i wszyscy wypili wraz z nią. Jednak mimo pełnych nadziei słów, okrzyki radości szybko przebrzmiały.

Obok Vendy, na podwyższeniu, stał taboret, a na nim czekały rzucone pozornie bez ładu zwierzęce skóry. Obrzęd wilczych świąt na równi fascynował, co przerażał, trącając struny najbardziej pierwotnych lęków. Miał chronić przed wilkami, lecz wszyscy pamiętali, że pochodził z czasów, gdy tuż za progiem bezpiecznej chaty przechadzały się dużo gorsze bestie i to przed nimi próbowano się bronić magicznym rytuałem.

Żerczyni usiadła na zydelku, kładąc sobie skóry na kolanach, po czym przygotowaną wcześniej igłą i nicią zaczęła szyc szatę z futer.

W gospodzie zapadła gęsta cisza.

Po chwili, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, stojący nieopodal kowal spytał głośno:

– Co szyjesz, opiekunko?

– Zaszywam uszy wilkom – odparła – by nie słyszały ludzi, owiec ani cieląt.

Zanuciła pieśń, a ludzie podchwycili melodię. Gruba igła z cichym skrzypieniem przebijała skóry. Zwierzęcy pysek tworzył zwieńczenie kaptura, a przednie łapy miały opadać na pierś noszącego odzienie. Venda przyszyła skórę okrywającą plecy, po czym zabrała się za przód kapoty, dokładając trzecią część do ramienia.

Pieśń ustała.

– Co szyjesz, opiekunko? – spytał rudy Kostjan.

– Zaszywam oczy wilkom, żeby nie widziały ludzi, owiec i cieląt – odparła żerczyni, po czym znów podjęła śpiew.

Chwilę trwało, nim skończyła i sięgnęła po ostatnią wilczą skórkę. Przyłożyła ją do drugiego ramienia kostiumu, nawlokła nową nić, rozpoczęła ostatni szew.

Ludzie zamilkli jeden po drugim, a Tinne zadał pytanie:

– Co szyjesz, opiekunko?

A Venda po raz trzeci odparła:

– Zaszywam pyski wilkom, by nie zjadały ludzi, owiec i cieląt.

Popłynęła melodia, a dziewczyna kończyła magiczną szubę. Skóry były dobrze wyprawione, ale palce zaczynały boleć od wbijania i wyciągania igły. Rzucenie uroku wymagało pracy i wysiłku, ale była to niewysoka cena za obłaskawienie bestii.

Kapota nie miała rękawów, nie była jednak i pełeryną. Ręce noszącego ją wystawałyby spomiędzy przyszytych na ramionach części. Była surowa, nierówna, szara, a jedyną ozdobę stanowił pysk wilka na czole. O ile można go było uznać za ozdobę. Nie miało to jednak znaczenia, bo kapoty nikt nigdy nie miał założyć. Zaszyta w niej zwierzęca moc musiała pozostać nietknięta, promieniując na całą wieś i odstraszając stada leśnych bestii, aż do spalenia szuby po Godach.

Venda wstała, trzepnęła skórą tak, żeby ułożyły się w kształt odzienia z kapturem.

– Zaszyłam wilkom uszy. Zaszyłam wilkom oczy i zaszyłam wilcze pyski. Siła bestii wstąpiła w skóry,

powolna naszym rozkazom. Niechaj wisi tu, pośród nas, zniewolona. A gdy przyjdzie czas, spłonie w świętym ogniu, w ofierze Welesowi.

Zawiesiła kapotę na przygotowanym wcześniej stojaku w kształcie krzyża. Aż do końca świąt miała tu tkwić, w kącie podwyższenia.

Gdy układała pieczołowicie szatę, znów rozbrzmiała pieśń. Opiekunka zatknęła kaptur na szczycie stojaka, przerzuciła poły nad poprzeczką. Wygładziła sierść dokładnym, pełnym szacunku gestem.

Zawsze fascynował ją kształt szuby. Według legendy człowieka, którego odziewano w kapotę, na koniec Godów składano w ofierze wilkarom z zamku Damar. Ludzie wierzyli, że rzucając urok na szatę, umniejszą zwierzęcą moc bestii, ułagodzą je. I mimo że dziś nie składano ofiar z ludzi, a urok rzucano na wilki, nie na wilkarów, wciąż szyto strój w ten sam sposób, a zakładanie go groziło nieszczęściem – śmiercią lub wilkołactwem.

Wierzenia mają to do siebie, że dopasowując się do czasów, zmieniają sens, cel, czasem zupełnie tracąc poprzedni, czasem stając w opozycji do rozumu.

Opiekunka wiedziała, że patrzy na kilka skór zawieszonych na kijach. Jednocześnie nie mogła oprzeć się myśli, że stworzony w ten sposób strach, podobny do tego na wróble, wytwarza wokół siebie wrażenie osobowości, jakby stała przed nią żywa istota. Zwierzęcość przyciągała ją, wołała ku sobie tak, że przez krótką chwilę zastanowiła się, co by się stało, gdyby włożyła kapotę. Odpędziła od siebie tę myśl, jednak

nie mogła nie zauważyć, że serce zabiło jej mocniej, a przez ciało przemknął szybki dreszcz podniecenia. Raz jeszcze pogłaskała poły szuby, tym razem niemalże czule, kusząco.

Otrząsnęła się w tym samym momencie.

To dlatego, że przypomina mi o DaWernie, usprawiedliwiła się przed sobą natychmiast.

Ale wiedziała, że to nie to. Nie tylko. Stare opowieści mówiły, że wilcza moc przyciąga i prowadzi do zguby.

Szuba z wilczych świąt chce zostać założona. Zasztyta w środku moc pragnie się uwolnić.

Zielarka odetchnęła głęboko i odwróciła się do zebranych. Wspólnie dokończyli pieśń, a potem wszyscy chwycili w dłonie napełnione piwem i miodem kubki.

– Wilcza moc ujarzmiona – powiedziała spokojnie Venda. – Niechaj kły i pazury nie przeszkadzają nam w biesiadzie. Ciężko pracowaliśmy od poprzednich Szczodrych Godów, zasłużyliśmy na obfity poczęstunek i morze miodu! Swarog odradza się z mroku, a jego odwieczna moc będzie nas wiodła ku lepszym, słonecznym dniom. Ku wiośnie!

– Ku wiośnie! – ryknęli wszyscy, a kubki stuknęły jeden o drugi, chlapiąc wokół aromatyczną zawartością.

Opiekunka ruszyła ku drzwiom gospody, a za nią wylewał się na zewnątrz tłum.

Tej nocy płonęło w dolinie wiele ognisk, przyćmiewając blask ochronnego kręgu pochodni. Żadna chata we wsi nie pomieściłaby wszystkich mieszkańców, toteż na tańce i hulankę przeniesiono się na plac przy studni. Mimo mrozu rozgrzani alkoholem, ciepłem ognisk

i zabawą górale nie czuli chłodu. Ruszyli w korowody, łapiąc się za ręce, śpiewając i uwalniając stłumioną ponurymi wilczymi świątami radość. Bębenki wybijały rytm, od którego nogi same rwały się do tańca, gęśle zaczynały skocznie, wesołe piosenki niosły się aż po niebo, odbijane echem od tafli jeziora i szczytów gór.

Wilcza Dolina zamierzała tańczyć w najdłuższą noc roku aż do świtu.

Venda nie miała ochoty na zabawę, sercem wyrывая się do domu, do mężczyzny, którym nie zdążyła się jeszcze nacieszyć. Zerkała czasami w stronę lasu, czy aby nie wypatrzy go tam jak dawniej. Wiedziała, że ani wilkar, ani mieszkańcy doliny nie są jeszcze gotowi na wspólne ucztovanie. Pozostała więc rozdarta tu, na miejscu, bo takie było jej zadanie.

Nagle ktoś złapał ją od tyłu i uściśnął mocno za szyję.

– Kochana, dlaczego nie tańczysz?

Oddech Jady pachniał piwem, a policzek był gorący jak palenisko.

– Zamyśliłam się – odparła zielarka, odpychając od siebie ponure myśli. – A gdzie zostawiłaś Lendava?

– Tam. – Jada machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Poszedł po piwo.

Venda rzuciła przyjaciółce rozbawione spojrzenie.

– Może daj sobie już spokój, co? Wody się napij, zjedz coś – poradziła.

Jak na dłoni widać było, że młynarka ma na dziś dość wysokowych napojów.

– Venda, moja ty opiekunko! – Jasnowłosa dziewczyna wytarosiła zielarkę za policzki jak małe dziec-

ko. – Taka rozsądna, taka opiekuńcza. Najopiekuńsza z opiekunek!

Roześmiała się perliście z własnego dowcipu, a zaskoczona Venda parsknęła śmiechem.

– Ale popiłaś, Jada!

– No i co? Dziś ostatnia noc mojego panieństwa, zwyczaj każe hucznie żegnać wianuszek!

– Ta, wianuszek – przytaknęła kpiąco zielarka. – Jutro swadźba, nie pij więcej, bo będziesz wyglądać w weselnym odzieniu jak topielica.

– Daj spokój, jestem prawie trzeźwa. Naprawdę. Nie patrz tak, jestem! Słuchaj.

Oblizła wargi, zmarszczyła czoło i wydekłamała:

– W czasie suszy srebrny szczupak skacze... to znaczy skacze!

– Teraz wierzę. – Venda kpiąco skinęła głową. – Jesteś zupełnie trzeźwa. A jak tam przygotowania do wesela? Ja jestem już gotowa ze wszystkim. Wy też?

– Pewnie. Jedzenia po uszy, bo to święta. Miodu po uszy, bo to święta. Chaty ubrane, bo to święta. Anika obrażona na Marona, bo to Anika!

Roześmiała się, klepiąc dłońmi po udach, i Venda też nie mogła zachować powagi.

– Twoja siostra ma charakterek. – Pokręciła głową. – Nigdy nie zrozumiem, czemu tych dwoje tak się uparło być razem. Albo ona go zagnębi na śmierć, albo on w końcu nie wytrzyma i ją udusi. Co to za miłość?

– Nie wiem. Ale chciałabym już być w ciąży.

Opiekunka zakrztusiła się miodem z wrażenia. Rozkasłała się wniebogłosy, unosząc ręce wysoko do

góry, żeby jej przeszło. Zamaszystym gestem otarła rękawem napój z ust i podbródka. Jada wytknęła ją palcem i zanosła się śmiechem. W krytycznym momencie Lendav podparł przyszlą żonę ramieniem, inaczej poleciałaby na plecy.

– Ostrożnie, bo mi się połamiesz w ostatnią noc przed ślubem!

– Jesteś!

Rozradowana młynarka uściśnęła chłopaka, a potem pocałowała go namiętnie. Bardzo długo, mrucząc z zadowolenia i mlaskając rozkosznie.

Venda wywróciła oczami i wychyliła pół kubka miodu naraz.

– Idźcie do chaty czy gdzieś... – mruknęła.

Jada odkleiła się wreszcie od chmurnika, który trzymając po kubku piwa w każdej ręce nie mógł się bronić przed jej pieszczotami. Zakładając, że w ogóle by chciał, co wydawało się zielarce mało prawdopodobne.

Lendav westchnął rozmarzony, rozognionymi oczami spoglądając na młynarkę, która wydarła mu napój z ręki i przyssała się do kubka.

– Źle to widzę – rzuciła Venda zrzędliwie, ale Lendav mrugnął tylko w odpowiedzi.

– Spokojnie, panuję nad wszystkim.

Opiekunka szczerze w to wątpiła. Jasnowłosey chłopak zmienił jednak temat.

– Słyszałaś wycie w nocy? Brzmiało, jak twój wilkar, ale on przecież, no wiesz...

– Jakie wycie? – opiekunka osłupiała. – Nic nie wiem, spałam jak zabita.

Jada parsknęła, klepiąc przyjaciółkę w ramię, po czym konspiracyjnie szepnęła do przyszłego męża:

– Zawsze, jak ją pytałam: „Hej, słyszałaś wycie? To chyba ten o wilczych oczach”, to mówiła, że spała. Po-dejrzane, nie?

Po czym zachichotała, uważając swój żart za wyborny.

– Ale czemu pomyślałaś o wilkarze? – dopytywała zielarka.

Chłopak skrzywił się.

– To był dziwny skowyt, niepodobny do zwykłych wilków. Głośniejszy, pełen złości, jak u twojego przyjaciela właśnie albo u wilkołaka. Mamy w dolinie wilkołaka?

Venda zafrasowała się, zupełnie nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Wzruszyła ramionami.

– Opiekunko? – Ktoś chwycił ją za łokieć.

– Tak? – Ocknęła się z zamyślenia.

Obok stała Milisa, córka myśliwego Ylsira. Była trochę niższa od zielarki, ubrana jak zwykle w skromną, burą sukienkę i równie nijaki płaszcz, jakby próbowała ukryć przed światem swe krągłe kształty. Jej szeroka, szczerą twarz wyrażała lęk, błękitne oczy błagalnie patrzyły na opiekunkę, a zaróżowione zazwyczaj policzki były blade jak śnieg. Na sam widok Venda poczuła skurcz w żołądku.

– Co się stało? Coś z panem Jartem? – spytała.

Od śmierci Stalli córka myśliwego pomagała w karczynie, przez co mocno zżyła się z jej gospodarzem. Była

zbyt nieśmiała, by można ją posądzić o kuszenie mężczyzny, który mógłby być jej ojcem, ale tylko ślepiec nie zauważyłby, jak bardzo zdążyła się do niego przywiązać.

Teraz również mieszała się na sam dźwięk jego imienia.

– Nie, ale wydarzyło się coś strasznego. Pójdziesz ze mną? Jeśli możesz, oczywiście. Nie chcę przeszkadzać... – Obrzuciła nieśmiałym spojrzeniem wlepiających w nią wzrok Jadę i Lendava, po czym cicho dodała: – To bardzo ważne.

Widać było, jak niemalże wije się, nie chcąc być w centrum zainteresowania. Venda skinęła bez słowa, wcisnęła Lendawowi pusty kubek i gestem ponagliła Milisę, by prowadziła.

Klucząc między roztańczonymi sąsiadami, dziewczyna zaprowadziła opiekunkę do gospody. Podeszły do wejścia i Milisa zapukała w charakterystyczny sposób. Drzwi uchyliły się niemal natychmiast i w szparze pojawił się Jart, a właściwie jego nos i podejrzliwie spoglądające oko.

– Nareszcie! – rzucił z wyraźną ulgą. – Wchodźcie szybko.

Milisa prawie wepchnęła Vendę do środka.

– Na Welesa! – wykrztusiła zaskoczona zielarka. – Co to za tajemnice?

Zdenerwowany mężczyzna chwycił ją za ramiona i odwrócił w stronę pustego miejsca w karczemnej izbie. Dziewczyna zmarszczyła gniewnie brwi, gotowa zrugać ich oboje za głupie zachowanie, ale nagle zamarła.

– O, nie! – jęknęła.

Na podwyższeniu stał pusty wieszak w kształcie krzyża. Kapota z wilczych skór zniknęła.

– Co się stało? Jak...? Dawno to zauważyliście?

Jart potrząsnął bezradnie głową.

– Posłałem po ciebie, jak tylko to odkryliśmy. Na szczęście chyba nikt tu nie wchodził, bo inaczej ludzie krzyczeliby w panice...

– I tak się dowiedzą – odparła Venda. – Przecież nie uszyję nowej ot, tak.

Przypomniała sobie, jak pociągająca wydała jej się możliwość założenia szuby.

– Na Roda – szepnęła. – Tyle mocy. Musimy natychmiast odnaleźć kapotę!

– Ale jak? Gdzie zacząć szukać? – Karczmarz bezradnie rozłożył ręce.

Milisa nerwowo skubała kraj burej peleryny.

– Będziemy mieć wilkołaka? – spytała cicho.

– Może nie – odparła opiekunka.

Niespodziewanie Jart przygarnął pomocnicę do siebie.

– Nie martw się, dziecko, wszystko będzie dobrze. Z nami jesteś bezpieczna.

Biedna Milisa spąsowiała na twarzy, z wrażenia zapominając o oddychaniu. Venda mimowolnie zastanowiła się, czy gospodarz jest aż tak ślepy, czy robi to dla własnej przyjemności.

– Ktokolwiek ukradł kapotę, mógł jej jeszcze nie założyć – podjęła.

– Tylko po co innego miałby ją kraść?

– No właśnie – stropiła się zielarka. – Ale trzeba mieć nadzieję. Chodźcie.

Mężczyzna wypuścił przechodzącą słodkie mężczyźnie dziewczynę i ta wreszcie zaczerpnęła powietrza. Uwadze Vendy nie umknęło, że Jart zrobił to z pewnym ociąganiem, jakby wcale nie miał ochoty przerywać przytulania Milisy.

Wyszli przed gospodę i zatrzymali się zaraz za progiem. Opiekunka uważnie lustrowała rozhulany tłumek w poszukiwaniu śladu nietypowego zachowania, grymasu winowajcy czy bezczelnego spojrzenia w oczy. Starła się dokładnie zapamiętać, kto tańczy, kto się spił, a kogo nie ma w polu widzenia.

– To znaczy, że powiemy o wszystkim? – Jart stanął tuż obok.

– Przede wszystkim trzeba znaleźć kapotę. Może jeszcze da się zapobiec tragedii. Na razie spróbujmy to zrobić po cichu.

– Gdy więcej ludzi będzie szukać, znajdziemy kapotę szybciej, nie uważasz? – wahał się gospodarz. – A jeśli przy kolejnej pełni mamy tu mieć wilkołaka, oni wszyscy mają prawo o tym wiedzieć i się bronić.

Venda potrząsnęła głową.

– Tak jak chcieli się bronić przed Alasą? Nie. Jeśli wieś się dowie, będą patrzeć na siebie wilkiem, podejrzewać się nawzajem, a zanim nadejdzie pełnia, zdążą pewnie sami wskazać winnego i jeszcze go ukamienować, żeby czasem nie stał się wilkołakiem.

– Czy to nie jest najlepszy pomysł? Pozbyć się bestii, zanim kogoś zabije?

– Tak, może – przyznała. – Ale najpierw trzeba wiedzieć na pewno, że pozbywamy się właściwej osoby. Poza tym to nie będzie pierwszy potwór w tej dolinie, wszyscy wiedzą, co robić. Kryć się, nie wychylać, poczekać, aż opiekun załatwi sprawę. A teraz dość gadania, rozejrzyjmy się po ludziach, między chatami, może coś znajdziemy.

– Czy ja dobrze słyszę? – padło nagle zza ich pleców.

Odwrócili się zaskoczeni. Zdamir chwiał się ledwie dostrzegalnie, dziarsko ściskając butelkę miodu w jednej, a kołacz z serem w drugiej wielkiej jak bochen dłoni. Pochylił się do przodu, wbijając nietrzeźwy wzrok w opiekunkę.

Przeklęła w myślach. Kował był ostatnią osobą, z którą podzieliłaby się tajemnicą.

– Kapota zniknęła? – wycedził przez zęby, a okruszki tkwiące w gęstej brodzie zatańczyły w takt słów.

– Ciszej – syknęła zielarka. – Przestraszycie wszystkich.

– Ludzie! – ryknął mężczyzna, nie zwracając na nią uwagi. – Wilcza kapota zniknęła!

– Poczekajcie! – Próbowwała go jeszcze uciszyć, ale najbliższy stojący już odwracali się w ich stronę.

– Co on krzyczał? – pytali z niedowierzaniem jeden drugiego. – Wilcza kapota?

Venda odetchnęła głęboko, szykując się na rychły wybuch paniki. Nie miała innego wyjścia, jak poddać się biegowi zdarzeń.

– Posłuchajcie! – Uniosła ręce do góry w uspokajającym geście. – Ktoś zabrał z gospody wilczą kapotę!

Muzyka umilkła, tańczący zatrzymali się, wciąż jeszcze rozbawieni, roześmiani. Wielu ciągle nie rozumiało, skąd ta nagła zmiana nastroju, ale już po chwili dołączali do rosnącej grupy przed karczmą. Szeptano nerwowo.

– Wilkołak – padło gdzieś z tłumu.

Słowo powtórzono najpierw spokojnie, potem głośniej, więc zielarka krzyknęła tak donośnie, jak tylko potrafiła:

– Nie ma wilkołaka! Przestańcie! Uspokójcie się i mnie posłuchajcie!

Milkli jeden po drugim. Ufali jej, widziała to w ich spojrzeniach. Przestraszyli się, ale chcieli wierzyć, że powie coś, co ich uspokoi, pozwoli wrócić do zabawy i zażegnać strach.

– Nie wiemy, czy złodziej założył na siebie skóry! – zaczęła. Wiedziała, że musi mówić krótko. – Nie wiemy też, czy stanie się wilkołakiem, nawet jeśli to zrobił.

– Co to za brednie, opiekunko? – Zdamir poczerwieniał na twarzy już nie tylko od alkoholu. – Kto założy kapotę, dostaje obłędu, wszyscy o tym wiedzą!

– Tak, ale może to świadomość, że idzie się na rzeź jako ofiara, sprawiała, że wybrańcy wariowali? Od stu lat nikt nie zakładał kapoty! Nikt nigdy wcześniej nie ukradł szuby! Ona ma moc, jestem o tym przekonana, czułam to, ale nie wiem, czy legendy mówią prawdę. To legendy!

– Więc dlaczego próbowałaś to przed nami ukryć, co? – Zdamir wyciągnął oskarżycielsko palec, w dłoń

wciąż ściskając butelkę. – Tak! Ludzie, opiekunka nie miała zamiaru nam o tym powiedzieć!

– Nie chciałam was straszyć, dopóki się czegoś nie dowiem! – odkrzyknęła do tłumu, który zaszumiał z oburzeniem. – Proszę, musicie mi zaufać! Najważniejsze to znaleźć złodzieja. Jeśli ta osoba mnie teraz słyszy, niech się przyzna!

Musiała to powiedzieć, ale nie miała złudzeń. Nikt o zdrowych zmysłach nie zgłosiłby się w tej chwili, na oczach ludzi, którzy pewnie z miejsca rozszarpaliby go na strzępy. Mimo to górale odruchowo rozglądnęli się po sąsiadach, czy czasem ktoś nie wyciąga ręki w górę.

– Co w takim razie robimy? – krzyknął wreszcie gdzieś z boku Kostjan.

Venda zdawała sobie sprawę, że ludziom trzeba znaleźć zajęcie, żeby nie mieli czasu myśleć i robić głupot.

– Szukamy! – zdecydowała. – Sprawdźcie podwórka, chaty, krzaki wokół. Nie odchodźcie w stronę lasu, nie chcemy dodatkowych kłopotów.

– A jeśli złodziej uciekł właśnie do lasu? – spytała młynarzowa.

– To trudno. Może mieć pretensje tylko do siebie. Wtedy przynajmniej nie zostanie wilkołakiem – dorzuciła z przekąsem. – Jeśli znajdziecie ślady i okaże się, że uciekł w las, sami nie idźcie dalej. Las przeszukamy za dnia! Musimy znaleźć wilczą kapotę. Musimy się dowiedzieć, co się z nią stało, gdzie jest i czy złodziej zdążył przejąć jej moc! Ruszajmy!



[Kup książkę](#)

Rozdział 2

Uciekaj, opiekunko!

– Nie znaleźliśmy – skończyła opowiadać. – Przepadła jak kamień w wodę!

Potarła dłońmi twarz, wzdychając ciężko. DaWern wyciągnął rękę przez stół i czule pogłaskał dziewczynę po ramieniu. Drugą wpakował sobie do ust kiełbasę i ugryzł zachłannie.

– Zjedz coś – poradził. – Humor ci się poprawi.

Jęknęła, wywracając oczami.

– Na Welesa, jak ty niczego nie rozumiesz! – Opa-
dła na stół, tłukąc czołem o deskę. – Ta kapota to przekleństwo. Czułam jej moc, wiem, że jest groźna. Jak znajdę złodzieja, bo zakładam, że znajdę, będę musiała bronić go przed ludźmi, a prawda jest taka, że sama nie wierzę, żeby oparł się pokusie założenia skór, więc prawdopodobnie przy kolejnej pełni będę tu miała wilkołaka! Do kroćset, DaWern, czy możesz nie mlaskać, kiedy pograżam się w rozpacz?!

– Jestem głodny. – Wzruszył ramionami. – Nie objadałem się całą noc smakołykami, jak niektórzy...

– Ja też się nie objadałam! Nie miałam czasu.

Nim skończyła mówić, pod jej nos podjechała nadgryziona laska kiełbasy.

– Wiedziałem, że marudzisz z głodu – mruknął do brodusznie wilkar. – Masz.

Venda otworzyła usta, żeby wytłumaczyć mu, jak bardzo się myli, oraz że jedzenie to ostatnia rzecz, o której jest w stanie teraz myśleć, ale zamiast tego znów opadła na blat stołu, kryjąc twarz w przedramionach.

Mężczyzna podszedł, delikatnie zmuszając ją, by wstała.

– Ven, jesteś wyczerpana. – Na czole zielarki wylądowały usta o zapachu wędzonki. – Chodź, połóż się, prześpij, a ja dołożę do paleniska, żebyś miała ciepło i przytulnie.

– Nie, nie mam czasu! – Broniła się słabo, jednocześnie padając na posłanie. Wiedziała, że nie będzie w stanie się podnieść, nie po bezsennej nocy.

DaWern okrył ją dokładnie owczymi skórami, a ona ciągle biadoliła:

– Wieczorem wesele... do tego czasu muszę...

– Wiem, wiem. – Wilkar zbył ją niczym małą dziewczynkę. – Ale jak się nie prześpisz, to padniesz w połowie przysięgi. Naładuję tyle drewna, ile palenisko zmieści, i wrócę, nim się wypali.

Zmarszczyła brwi, bardzo starając się nie zasypiać.

– Wrócisz? A dokąd idziesz?

– Powęszę trochę – odparł, ładując szczapy drewna w ogień. – Może znajdę ślad tej twojej kapoty.

– Och, naprawdę? – Rozpłynęła się z czułości. – Ale przecież ty też nie spałeś.

– Dam radę. Prześpię się później. Miałem co prawda inne plany, skoro znów mi znikasz na noc, ale co tam, odpłacisz się jakoś. – Mrugnął porozumiewawczo.

Zaśmiała się i szczerzej otuliła się skórą.

– Dziękuję – wymamrotała, już prawie drzemiąc.

Ale zaraz oprzytomniała, przypominając sobie o czymś.

– Wern! Czekaj!

Odwrócił się już bez koszuli, rozwiązując właśnie sznurek i pozwalając, żeby spodnie opadły mu do kostek.

– Co?

– Podobno przedwczorajszej nocy wyłeś na ruinach.

– Niemożliwe, byłem z tobą przez całą noc.

– Ludzie słyszeli.

Pokręcił głową, strząsając spodnie ze stóp.

– To nie byłem ja. Wiedziałbym o tym.

– DaWern... – mruknęła zawiedziona. – Co się dzieje? Nie chcesz mi o czymś powiedzieć?

Miał się właśnie przemienić, ale wstrzymał się, wyprostował i zastanowił chwilę.

– Nie wiem, o co ci chodzi – stwierdził w końcu. – Cokolwiek słyszeli twoi ludzie, to nie byłem ja. A teraz śpij, wrócę niedługo.

Po czym nagi wyszedł z chaty, zamykając za sobą drzwi.

Opiekunka bezradnie opadła na posłanie. Zmęczona i przygnębiona zatoneła w głębokim śnie bez snów.



Tego dnia słońce w ogóle nie wyrzało zza chmur, więc zimowy zmierzch przyszedł jeszcze szybciej niż zwykle. Podwójne wesele Jady i Lendava oraz Aniki i Marona miało się odbyć w gospodzie, trzeba więc było przyszykować stoły, nakryć je i zastawić jadłem, wcześniej uprzątnąwszy ślady biesiady trwającej do świtu.

Kobiety z rodzin państwa młodych użyły odwiecznej magii gospodyń, sprawiając, że gdy Venda przestąpiła próg karczmy, aż westchnęła z zachwytu. Ławy równiutko ustawiono w rzędy, a pod ścianą, równoległe, postawiono jedną dla młodych par i ich rodziców. Po przeciwnej stronie izby, na podwyższeniu, zostawiono puste miejsce do tańca. Tutaj też miała się odbyć uroczystość zaślubin.

Pod sufitem, u powały, wisiały świąteczne podłóżniczki w towarzystwie girland i słomianych wieńców. Ściany również ozdobiono w podobny sposób, przez co karczma nabrała przytulnego, ciepłego charakteru. Stoły uginały się od jadła, aż zielarce ciekła ślinka na widok smakołyków. Wesele zapowiadało się wybornie i wszystko byłoby cudowne, gdyby nie to, co wydarzyło się podczas wilczych świąt.

Venda przywitała się z rodzicami Marona i całą rodziną młynarzy, po czym weszła na podwyższenie i z namaszczeniem zaczęła rozkładać potrzebne rzeczy.

Na środku ustawiono trójnóg, a na nim wykutą dawno temu ogromną misę. Opiekunka skrzesała w niej ogień, a następnie dorzuciła wonnych ziół i uświęciła płomienie modłami. Starła się skupić, odgonić niepokój i myśli o kradzieży. Bogowie nie znoszą źle odprawianych rytuałów.

Tymczasem goście już się schodzili i wkrótce można było zaczynać obrządek.

Czwórka młodych ubrana była w proste stroje. Dziewczęta miały rozpuszczone włosy, bo poprzedniego wieczoru, ostatniego w panieńskim stanie, kobiety z rodziny rozplotły im warkocze. Zarówno Jada i Anika, jak i ich przyszli mężowie ozdobili głowy wiankami z suszonych kwiatów i traw.

Dwie pary podeszły do świętego ognia, a Venda przywitała ich chlebem i miodem.

Potem młodzi złożyli ofiarę bogom, wrzucając jałdo w płomienie. Dziewczęta Ładzie, bogini losu, a mężczyźni Swarogowi. Dłonie każdej z par zostały następnie obwiązane krajką i rozpoczęły się przysięgi. Zakochani mówili długo i z uczuciem, a żeńska część rodziny ocierała łzy wzruszenia.

Opiekunka mimowolnie odpłynęła myślami w kierunku wilczej kapoty. Nie potrafiła o niej zapomnieć.

DaWernowi nie udało się trafić na jakikolwiek ślad, więc dalej wiedziała tyle samo, co w momencie gdy usłyszała o zniknięciu szuby. Nic.

Ocknęła się, kiedy Maron skończył ślubowanie. Teraz młodzi ruszyli, by okrążyć trzykrotnie święty ogień zgodnie z ruchem słońca, potem żernicy podała

im róg pełen miodu, a oni kolejno wylewali odrobinę w płomienie i upijali łyk, chwając bogów.

To miał być taki dobry dzień, marudziła w myślach zielarka. Miałam jeść, pić, tańczyć, a na koniec wrócić do chaty i kochać się do białego rana. Tymczasem stoję tu, nie mogąc wykrzesać krztyny radości z zaślubin przyjaciółki, bo jakiś baran połasił się na coś, co nie należy do niego i zrujnował mi gody!

Zorientowawszy się, że wszystkie toasty do bogów zostały wzniesione, postąpiła do przodu i z namaszczeniem odwinęła krawkę łączącą dłonie Jady i Lendava.

– Od tej chwili jesteście jednością. – Wysiłała się na uśmiech. – Na znak wspólnoty i szczerości waszego uczucia wymieńcie się teraz wiencami.

Młodzi zdjęli ozdoby z głów i nałożyli je sobie nawzajem, promieniejąc szczęściem, głęboko patrząc sobie w oczy. Ich radość była tak zaraźliwa, że goście zebrani w karczmie uśmiechali się mimowolnie. O dziwo, druga z par również wydawała się szczęśliwa, choć nikt nie wątpił, że taki stan nie potrwa długo. Może zresztą Anika i Maron kochali się właśnie w tak wybuchowy sposób? Dość, że tego wieczora nie obrażali się na siebie, ściskali mocno dłonie i chichotali, wymieniając się wiankami.

Na koniec uroczystości żony i mężowie stanęli naprzeciwko siebie, rozrywając nad świętym ogniem dorodne kołaczki. Komu większy kawałek zostanie w dłoni, ten będzie rządził w małżeństwie. U Jady i Lendava połówki ciasta okazały się niemal równe, choć to dziewczynie udało się wyrwać więcej. Natomiast u drugich mło-

dych kołacz rozerwał się tak, że w dłoni Aniki pozostał jedynie mały kawałeczek. Goście huknęli śmiechem, bo wynik był niemal niewyobrażalny w przypadku tego małżeństwa. Do tego mina młodej żony wyrażała takie zdziwienie, że nawet Venda po cichu parsknęła, w myślach życząc humorzastej pannie, żeby małżonek oduczył ją dąsów i sprowadził z obłoków na ziemię.

Opanowała się szybko, bo trzeba było jeszcze zakończyć zaślubiny.

– Niech wam się darzy, kochani! – zawołała. – Niech wam bogowie sprzyjają, niech wynagradzają każdą ciężką pracę, a choroby i nieszczęścia niech was omijają z daleka! Niech Rod czuwa nad nowo związanymi rodzinami, niechaj będą szczęśliwe i płodne!

– Hura! Niech żyją młodzi! – zawołali goście i deszcz ziarna posypał się na głowy nowożeńców.

Matki młodych płakały zgodnie, ściskając się i obcałowując siarczyście w policzki, zaś ojcowie już ruszali do wzniesienia pierwszego toastu.

W tym momencie drzwi karczmy otworzyły się z hukiem i do środka wpadł najpierw podmuch mroźnego powietrza, a zaraz za nim Irke, wrzucony za próg przez ojca. Chłopak upadł z jękiem i posunął po podłodze dobrych kilka kroków.

– I leż, zasrańcu! – Gostowit wściekle zatrzasnął za sobą drzwi. – Nie próbuj łba podnosić, bo tak cię zdzielię, że popamiętasz!

Zebrani zamarli z otwartymi gębami, popatrując to na szlochającego na deskach chłopaka, to na stojącego nad nim bartnika. Narzucona na chude ramiona

futrzana peleryna sprawiała, że wydawał się postawniejszy, a z zaczerwienionej twarzy biła taka wściekłość, że odgoniłaby od barci niedźwiedzia. Szare oczy sypały skry spod krzaczastych, siwych brwi, a srebrzyste wąsy poruszały się, gdy Gostowit sapał ze złości, potrząsając trzymanymi w dłoni grabiami.

Na grabiach tych, niczym na wieszaku, wniósł do karczmy wilczą kapotę. I to głównie z jej powodu ludzie zaniemówili z wrażenia.

Venda najszybciej otrząsnęła się z zaskoczenia. Wyminęła nowożeńców, zeskoczyła z podwyższenia i dopadła do Irkego. Przyklękła, chwyciła garścią jasną czuprynę i brutalnie zadarła chłopakowi głowę.

– Założyłeś ją?!

Szare oczy spojrzały na dziewczynę błagalnie, poprzez łzy.

– Nie!

– Na pewno?! – Szarpnęła, aż zawył z bólu. – Nie waż mi się kłamać, chłopcze!

Był od niej tylko dwa lata młodszy, ale w tej chwili dzieliła ich przepaść.

– Przysięgam! – wykrztusił płaczliwie. – Na Welesa, przysięgam! Na życie matki!

– Matki do tego nie mieszaj! – Gostowit kopniakiem przesunął nogi syna po podłodze. – Taka hańba!

Venda również miała ochotę wyładować wściekłość na chłopaku. Najchętniej przywaliłaby trzymaną głową o deski, ale powstrzymała się.

– Co ty sobie myślałeś? – spytała zamiast tego.

– Przepraszam, opiekunko!

– Nie mnie przepraszaj, durniu. Jeśli założyłeś kapotę, to przede wszystkim sobie zrobiłeś krzywdę. Nie wiesz, czym to grozi?

– Nie założyłem jej! – zawył ponownie. – Bałem się, przyrzekam! Niech mnie Perun strzeli tu i teraz, jeśli kłamię!

Stojący nad nim ojciec zachnął się gniewnie.

– Jak wielki Perun tego nie robi, to ja cię strzelę na pewno. Niech no tylko wrócimy do chaty.

– Do chaty?! – Zdamir poderwał się ze swego miejsca przy ławie. – Jakże to? Chłopak nigdzie nie pójdzie!

– Tutaj też nie zostanie! – odparł ojciec panien młodych. – My tu mamy wesele, nie potrzebujemy wilkołaka!

– Nie jestem wilkołakiem! – zawył Irke niczym potępieniec. – Uwierzcie mi, błagam!

– On mówi prawdę. – Sadko, syn młynarza, postąpił niepewnie ku opiekunce.

Venda puściła włosy młodego bartnika, odwracając się ku bratu Jady.

– Aha, no tak – mruknęła złowieszczo. – Wy dwaj zawsze razem, mogłam się domyślić, że też brałeś w tym udział.

Sadko nawet nie próbował ukryć, że się jej boi. Bał się zresztą wszystkich zgromadzonych, wiedział, jak dzisiejszy wieczór może się dla niego skończyć, ale nie mógłby sobie spojrzeć w twarz, gdyby zostawił młodego bartnika na pastwę losu.

Venda z pewnością doceniłaby ten gest odwagi, gdyby tylko nie skupiała się na opanowaniu trawiącego ją ognia słusznego gniewu.

– Mów! – nakazała.

– Popiliśmy. – Sadko uciekł wzrokiem w bok, żeby tylko nie patrzeć opiekunce w oczy. – Nie pamiętam, z czego nam zeszło na kapotę i na kłutwę, ale w końcu jakoś tak... To ja podpuściłem Irkego, że nie ma dość odwagi, żeby założyć szubę.

– Durnie – syknął Wastir, waląc syna dłonią przez łeb. – To nie macie jak odwagi dowodzić, tylko tak?!

Sadko skulił się pod ciosem ojcowskiej ręki, a zielarka spojrzeniem powstrzymała młynarza przed dalszymi razami.

– Później mu wtłuczecie, panie Wastir. Nie będę się do wychowania wtrącać. Ale teraz niech nam opowie do końca.

Młynarz przytaknął, po czym, nie mogąc się powstrzymać, grzotnął chłopaka jeszcze raz i odstąpił niechętnie.

Sadko pomasował obolałą głowę i podjął:

– Czekalem za karczmą, ale wszystko przez szparę widziałem. Gdy pan Jart i Milisa zabrali naczynia i wyszli je pomyć, Irke wpadł do izby i zgarnął kapotę. Tylko zamiast ją założyć, a potem zaraz zdjąć i wiać, przywłókł ją matoł na zewnątrz, do mnie. Widać strach go jednak obleciał. – Nie darował sobie złośliwości pod adresem przyjaciela.

Irke wciąż leżał na podłodze, szlochając, i nie wyglądało, żeby słowa zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Byłem z nim od tamtej chwili prawie przez cały czas – opowiadał dalej młynarczyk. – Irke nie założył kapoty, ale było już za późno, żeby ją odnieść na miej-

sce, bo pan Jart wysłał Milisę po opiekunkę i zamknął się w gospodzie. Wtedy już baliśmy się przyznać, żebyście nie wzięli nas za wilkołaków, ale przysięgam, nie zakładaliśmy skór na siebie! Schowaliśmy je w obejściu bartników i tyle. Słowo!

Im bardziej się zarzekał, tym głośniejszy szum rozdił się pośród zebranych.

– Wiadomo, że się nie przyznają! – dowodził Stojan.
– Teraz ich puścimy, a za miesiąc odgryzą nam głowy!

– Nie mieliby kogo gryźć, tylko ciebie – warknął Tinne. – Taki z ciebie smakowity kąsek, jak z mojej rzyci dłubanka!

– Ale o czym wy mówicie?! – wrzasnął Wastir. – Sadko może i głupi, ale to nie on ukradł kapotę! Wara mi od syna, psiekrwie, bo uduszę tymi rękami!

Tymczasem matka Irkego ukradkiem przypadła do syna i usiłowała odciągnąć go z pola widzenia. Gostowit zasłaniał sobą wyjście z karczmy, obserwując żonę z mieszanymi uczuciami. Najwyraźniej dopiero teraz, gdy gniew trochę opadł, zdał sobie sprawę, w jak bardzo opłakanym stanie znalazło się jego dziecko.

Sytuacja zaogniała się i lada moment wesele mogło przerodzić się w bijatykę. Venda szybko podeszła do Gostowita i przejechała dłonią po wilczym futrze kapoty. Przymknęła oczy i poczuła znów to dziwne mrowienie w palcach oraz pragnienie, by zarzucić odzienie na siebie.

Moc wciąż tu była.

– Słuchajcie! – Venda odwróciła się, krzycząc najgłośniejszym głosem, jak umiała.

Przycichli po chwili.

– Kapota rzuca urok na pierwszego, kto ją założy. Ofiara była zawsze tylko jedna, pamiętacie? Wiecie wszyscy, jak to działa. Po pierwsze więc, tylko jeden z tych durniów zostałby wilkołakiem. Po drugie zaś, uważam, że nie kłamią. Moc ciągle jest zaszyta, kto nie wierzy, niech tu podejdzie i posłucha, jak woła, by ją uwolnić. Ale ostrożnie, ubiję każdego, kto podda się temu wołaniu. No, dalej! Chcecie spróbować, kowalu?

Zdamir prychnął wściekle, nie zamierzając dać się sprowokować. Ale widząc, że wszyscy na niego patrzą, poczuł niepokój w sercu. Kapota napawała dziwnym lękiem.

Opiekunka głaskała szare wilcze futro, teraz już pewna, że jest silniejsza od pokusy.

– Nie jestem twoim pieskiem, dziewczyno! – Zdamir skrzyżował potężne ramiona na piersi. – Nie będę tam siedł na zawołanie.

Venda uśmiechnęła się złośliwie.

– Dobrze, jak tam chcecie. Cieszy mnie, że wreszcie i wy wierzycie mi na słowo. A zatem będzie tak: Irke i Sadko wracają do swoich rodzin, które, ufam, będą miały na nich baczenie i nie pozwolą na żadne nowe głupoty.

Młynarze i bartnicy pokiwali głowami, pomrukami dając znać, że tak właśnie się stanie.

– W czasie pełni będziemy czuwać przy obu chłopakach. Spętamy ich, zamkniemy gdzieś, gdzie nie będą mogli zrobić nikomu krzywdy, przeczekamy noc i będziemy wszystko wiedzieć. A tymczasem propo-

nuję wrócić do zabawy, bo słowo honoru, że po tym wszystkim marzy mi się kubek miodu. Wielki kubek. Albo lepiej cały gąsiorek.



Nie wszyscy byli zadowoleni z tego rozwiązania, ale podporządkowali się woli większości. Zabawa potoczyła się, z początku trochę na siłę, rozkręcając się z czasem w zwyczajne wesele. Venda została prawie do końca, obawiając się spuścić coraz bardziej pijanych górali z oka. Szczęśliwie nie wydarzyło się już nic niepokojącego.

Wróciła do chaty wraz ze świtem i padła na posłanie bez sił. DaWern przygarnął ją, na wpół śpiąc, i zachrapał.

Kiedy się ocknęła, było już ciemno. Skrzypnęły drzwi, zawiało chłodem, a następnie coś stuknęło o stół. Gotowa do obrony opiekunka zerwała się z posłania.

– Spokojnie! – DaWern łypnął na nią rozbawiony.
– Coś ci się śniło?

Rozejrzał się za ścierką i sitem do cedzenia mleka. Venda zrozumiała, że tym, co słyszała przed chwilą, był stukot skopka o stół.

– Nie – mruknęła. – Ja tylko... Przez chwilę nie pamiętałam, że nie mieszkam już sama. Złęklam się.

– Niepotrzebnie. Przecież wszyscy wiedzą, że mnie nie trzeba się bać. – Wyszczrzył w uśmiechu nie ludzkie zęby.

Dziewczyna powoli zbierała się z pieleszy.

– O rany. A gdzie reszta mleka? – Rzuciła okiem do wiadra. – Masz niesamowity apetyt, wiesz?

– To nie ja! – Obruszył się. – To bydlę mnie nie lubi, nie chciała więcej dać. Nie słucha się, mimo że doskonale dałem jej do zrozumienia, kto tu rządzi.

Zielarka pokręciła głową, zrezygnowana.

– W to akurat wierzę. Ale nic jej nie jest, prawda? To dobrze. Pójdę do niej za chwilę.

– Ale po co? Wszystko zrobiłem.

– Dziękuję, jesteś wspaniały. Ciekawe, jak tam we wsi. – Strategicznie zmieniła temat. – Wczoraj odnalazła się kapota...

– Nikogo tu nie było, więc chyba cię nie potrzebują. – Odstawił wiaderko po przecedzonym już mleku. – Głodna?

– Nie, obżarłam się tej nocy jak bąk. Starczy mi do kupalnocki!

– To świetnie! – Złapał ją wpół i mocno przyciągnął do siebie. – No to teraz poświętujemy po mojemu!

– Ale już po wilczych świętach! – pisnęła, niby to się broniąc.

– Tak, ale Gody trwają, nie? No to pokaż wilkowi, dziewczynko, jak bardzo są Szczodre.



Mróz nie odpuszczał. Szczypał w nos i policzki, rzeźbił długie sople u strzech. Słońce przygrzewało, skrząc się na śniegu i rażąc zielarkę w oczy, kiedy szczelnie otulona podbitym futrem płaszczem scho-

dziła do wioski. Była w tak świetnym humorze, że usłyszawszy wesołe piski od strony skutego na kość jeziora, zboczyła w tamtą stronę i przez dłuższą chwilę ślizgała się po lodzie wraz z dziećmi. Potem pożegnała się, na odchodnym machając odzianą w grubą rękawicę dłonią, i ruszyła w dalszą drogę.

Szczęśliwy czas wokół zimowego przesilenia trwał w najlepsze. Ludzie odpoczywali, odwiedzali się nawzajem, popijali miód i dużo jedli, co jakiś czas zarzekając się, że więcej już w siebie nie wcisną, a potem jedząc dalej.

– Witajcie, panie Tinne! Larse! – przywitała się zielarka, mijając sąsiadów. – Pięknie nam się Swarog odradza, prawda?

Okutani w płaszcze i futrzane czapy mężczyźni ciągnęli za sobą sanki. Każdemu dostała się do wozu jedna z córek Tinnego. Dziewczynki były nieduże, ale najwyraźniej zabawa trwała od jakiegoś czasu, bo mężczyźni zdążyli się porządnie zziąść. Z ochotą przystanęli na moment.

– Ano. – Tinne poprawił opadającą na czoło czapę. – Aż trudno uwierzyć, że Sine Wody mogłyby dziś zamarznąć, taki piękny dzień.

– Na Roda, ten znowu o swoim! – Larse pokręcił głową. – Ciesz się słońcem, a nie myśl o najgorszym!

– Na powrót wiecie kogo zawsze trzeba być przygotowanym. Prawda, opiekunko?

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W taki dzień jak ten sama nie wierzyła, żeby złe miało nadejść za jej życia.

– Czasem trzeba pozwolić sobie zapomnieć, panie Tinne – odrzekła. – Nie mówię, że na zawsze, ale na chwilę. No, bawcie się dobrze!

Pomachała do rozradowanych dziewczynek, na co starsza uśmiechnęła się promiennie i odmachała.

Odchodząc, Venda zobaczyła jeszcze kątem oka, że mała szturcha łokciem młodszą.

– Czemu nie odmachałaś, Heliczka? – dotarło do uszu zielarki. – Jak nie będziesz grzeczna, opiekunka naśle na ciebie potwory.

Venda parsknęła pod nosem, ale dziewczynki nie mogły już tego widzieć, bo sanki ruszyły w jedną stronę, a opiekunka pomaszerowała w przeciwną.

Już wiem, dlaczego dzieci na ślizgawce tak dziwnie na mnie patrzyły, pomyślała rozbawiona. Zostałam straszakiem na łobuzów.

Pozdrawiając po drodze kilku sąsiadów, dotarła do chaty Lusego. Od dnia porodu Atrę opiekowała się zaglądająca do niej co dzień Marozowa, a pomoc opiekunki ograniczała się do podsyłania odpowiednich mieszanek ziół. Stara kobieta wiedziała, co robić. Venda ufała jej i skupiła się na świętach, bo wiedziała, że gdyby zaszła taka potrzeba, po prostu po nią posła. Teraz jednak stwierdziła, że zajrzy do położnicy.

Choć rana goiła się jak należy, Atra wyglądała bardzo marnie. Jasne loki opadały jej w nieładzie aż do pasa, niemyte i nieczesane od kilku dni. Piękna twarz wychudła, oczy podkrążyły sine cienie. Powitała opiekunkę naburmuszonym wyrazem twarzy i spojrzeniem zamkniętego w klatce dzikiego zwierzęcia.

– Na Welesa, któż to się nareszcie objawił nam, maluczki? – przywitała Vendę kąśliwie. – Toż to nasza opiekunka! Myślałam, że już nie żyjesz, bo ani widu, ani słychu po tobie...

– Byłaś pod dobrą opieką – odparła spokojnie zielarka. – Słuchaj się babki Marozowej, to szybko dojdiesz do siebie.

Kobieta prychnęła tylko, wywracając oczami, a jej mąż natychmiast zaczął się skarżyć:

– Powtarzam jej, że musi leżeć, ale nie chce mnie słuchać. Co chwila wstaje, chociaż przecież mogę jej podać, co chce.

– Nie da się tyle leżeć! – warknęła natychmiast położnica. – Nikt by nie wytrzymał. Ty mnie w ogóle nie rozumiesz, matole. Demony zabrały moje dziecko, a ja mam się oszczędzać i czekać! Aż mnie skręca w środku, nie możecie tego zrozumieć, tumany jedne?!

– Uspokój się, Atra. – Venda skarciła ją ostro. – Wiemy, jak wygląda sytuacja. Jeśli chcesz szybko wyjść z chaty i pomóc szukać swojego chłopca, to się podporządkuj. Im bardziej stajesz okoniem, tym dłużej tu poleżysz. Ogarnij się, umyj, przepierz te łachy i zrób coś z włosami, bo wyglądasz jak wiedźma spod skały. A potem na posłanie i leż, aż wydobrzejesz.

– Tak, bo mi teraz na wyglądzie zależy – prychnęła blondynka, ale odruchowo przejechała dłońmi po zlepionych potem lokach.

Venda знаła doskonale próżność najpiękniejszej w dolinie i wiedziała, gdzie uderzyć.

– Bierz się do życia, dziewczyno – poradziła. – Spodziewałabym się po tobie czegoś więcej niż uzalania nad sobą. Zamień te jęki i stęki w gniew przeciwko tym, którzy są winni całemu bałaganowi. A, nie! Nie możesz, bo to przecież ty. – Uśmiechnęła się na koniec złośliwie.

Atra wydeła usta naburmuszona, ciskając z oczu piorunami.

– To oni – burknęła. – To przez nich to wszystko. Cholerne demony nie wsadziłyby mi dziecka do brzucha, gdyby ojcom nie przyszło do głowy mnie swatać!

– Co? – Zielarka poczuła, że jeszcze chwila i straci cierpliwość.

Odłożyła torbę, w której szperała, poszukując ziół, po czym podeszła do posłania chorej.

– O, nie – syknęła dobitnie i zaskoczyło ją, jak bardzo jej ton przypominał głos opiekuna. – Mogłaś mieć każdego chłopca w dolinie. Mogłaś się szmacić i wziąć sobie nawet któregoś z żonatych, pewnie żaden by się nie oparł. Ale nie, ty wolałaś się puszczać z demonami. Dopiero one były dość dobre, by ci dorównać, tak? Dość niezwykle, wyjątkowe, tak jak ty. Nikt cię na Cmentarz Wyklętych siłą nie zaganiał, biegałaś tam pewnie w podskokach, niczym łania. Więc nie zwałaj teraz na rodziców, na demony czy na mnie, bo ty i tylko ty odpowiadasz za tę tragedię.

– Ale...

– I to przez ciebie – nie dała sobie przerwać – dziecko, które nie jest winne temu, kto je spłodził, leży bogowie wiedzą gdzie.

– No właśnie...

– I przez ciebie – warknęła zielarka – będę narażać kark i stawac przeciw istotom, które pewnie przewyższają mocą nas wszystkich. Przez ciebie, twoją miłość do siebie i niewyżytą dupę. Miej więc chociaż tyle przyzwoitości, żeby siedzieć cicho, jak ci ktoś pomaga. A teraz muszę cię obejrzeć, więc łaskawie zrób to, co robisz najlepiej – rozłóż nogi.

– Nic nie rozumiecie – mruknęła Atra przez zaciśnięte gardło. – Nienawidzę was wszystkich.

Venda przeszła na drugi koniec posłania, czekając, aż dziewczyna spełni jej żądanie. Nie patrzyła już na nią. Wiedziała, że piękność najchętniej by ją opluła i wyrzuciła z chaty.

– Łamiesz mi serce. – Pozwoliła sobie jeszcze na ostatnią uszczypliwość. – A teraz szerzej. Już.

Opiekun, kiedy żył, potrafił mówić w taki sposób, że nawet najbutniejsi dostawali szczękościsku. Wewnątrz w człowieku płonął żywy ogień, ale ton opiekuna, połączony z surowym spojrzeniem szarych oczu, sprawiał, że nikt nie ośmielał się przeciwstawiać. Venda nienawidziła ojczyma z całego serca za rozkazy wypowiedziane w ten sposób.

Aż do dzisiaj nie wiedziała, że też potrafi tak mówić. Odkrycie okazało się niepokojąco przyjemne.

– Jest bardzo dobrze – orzekła po chwili ciszy. – Podziękujcie babce za opiekę.

– Podziękujemy – przytaknął Lusy, choć bez entuzjazmu. Widocznie przypomniał sobie, jak właściwie znalazł się w obecnej sytuacji, i nie był już tak gorliwy

w niesieniu pomocy żonie. – Zima jest ciężka i słyszałam, że lisy wydusiły jej wszystkie kury. Pewnie przyda się trochę jajek.

Za dobry jest, żeby się marnować przy tej jędzy, pomyślała Venda, posyłając chłopakowi dłuższe spojrzenie. A pomyśleć, że jeszcze wiosną wyłowił w rusalia wianek Jady. Życie poukładało się w zupełnie nieprzewidywalny sposób. Kto wie, co jeszcze przyniesie? Jedne chyba tylko rodzanice, co każdemu po narodzinach znak na czole uczyniły, decydując o całym życiu.

Wysupłała z torby garnuszek z maścią i postawiła na ławie.

– Smarujcie dalej, bo widzę, że rana ładnie się goi – poleciła. – Tu macie też zioła. Nie zaszkodziłoby i bogom ofiarę złożyć, poprosić o siły i podziękować za to, że Atrę przy życiu utrzymali.

Lusy przytaknął, obiecując, że tak właśnie zrobią. Venda zaczęła się zbierać do wyjścia, kiedy milcząca i obrażona Atra nie wytrzymała.

– Dlaczego do tej pory nie zrobiłaś nic, żeby odzyskać moje dziecko? – wypaliła.

Zielarka szczerze otulała szyję chustą.

– Byłam zajęta, miałam na głowie wilcze święta...

– Słyszeliśmy – ożywił się chłopak. – Ojce mi mówili o zniknięciu kapoty, no i że Sadko albo Irke będą pewnie wilkołaczyć w najbliższą pełnię.

– Tego jeszcze nie wiemy – uspokoiła go. – Myślę, że chłopcy mówią prawdę i nie założyli skór. Ale musimy być ostrożni.

– Wiadomo.

– Zaraz, zaraz – przerwała im z posłania położnica.
– Moje dziecko na mrozie i śniegu sypia gdzieś z demonami, a ty mówisz, że byłaś zajęta czym innym?!

– A co miałabym zrobić? – Zielarka hardo podrzuciła brodą. – Nie umiałaś mi powiedzieć nic na temat natury tych stworzeń. Nie wiem, jak z nimi walczyć, czym są albo kim byli za życia. Nic nie wiem! Właśnie idę na Cmentarz Wyklętych zapalić światło opiekunowi i mam zamiar się rozejrzeć. Ale nie oczekuj, że naprawię twoje błędy na zawołanie. To nie jest jakiś wąpierz czy rusalka. Nie wiem, jak się za nich zabrać, muszę poszukać w księgach, pomyśleć.

– To jest dziecko – wycedziła wściekle Atra.

– Wiem. Nie zapominam o tym, ale zakładam, że demony dbają o nie, skoro zadały sobie tyle trudu, by je porwać. Obiecuję, że teraz się tym zajmę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać waszego synka.

– Mojego. – Atra poprawiła ją natychmiast.

Kątem oka opiekunka dostrzegła grymas, jaki przebiegł przez twarz Lusego. Czy ta dziewczyna musi go tak ranić?, pomyślała z irytacją.

– No, w każdym razie zrobię wszystko – powtórzyła. – A jeśli ty coś sobie przypomnisz albo wpadniesz na jakiś pomysł, natychmiast dajcie mi znać. I żadnych głupot. – Pogroziła dziewczynie palcem. – Żadnego działania w pojedynkę. Razem mamy największe szanse, zrozumiano?

Atra parsknęła lekceważąco pod nosem, ale przytaknęła łaskawie.

Venda pożegnała się, czując, że to dopiero początek kłopotów.

Dzień wciąż był piękny, ale jeśli chciała wrócić do siebie przed zapadnięciem zmroku, musiała ruszać się żwawo. Droga na Cmentarz Wyklętych zasypana była śniegiem, więc tuż po wyjściu z chaty Lusego przypięła plecione z wikliny śnieżne buty. Dzięki nim nie zapadała się tak głęboko, jednak mimo to droga do lasu była mozolna i zdawała się o wiele dłuższa niż latem.

Zanim Venda dotarła na miejsce, skórzane buty zdążyły przemoknąć, a dół sukienki ozdobiły drobne kulki śniegu i lodu. Podobnie przedstawiała się sytuacja owijaczy, otulających nogi pod sukienką aż po kolana. Mimo wszystko spełniały swoją funkcję. Okutana płaszczem aż po czubek głowy dziewczyna zgrzała się jak pies, brnąc przez zaspy i starając się nie strącać na siebie białych czap z gałęzi sosen.

Wreszcie dotarła na miejsce. Niski, stary murek był zupełnie zasypany, a nieopodal ogromnego dębu wystawał jedynie czubek kapliczki zapomnianych bogów. Część grobów i kurhanów również schowała się pod śniegiem, ale Venda bez trudu trafiła do grobowca opiekuna, przygniecionego kamienna płytą.

Odgarnęła warstwę śniegu, by postawić świecę. Wyrzebała z torby krzesiwo oraz hubkę i wprawnymi ruchami roznieciła ogień. Zapaliła świecę i zapatrzyła się w jej płomień, nasłuchując odgłosów lasu. Choć cmentarz stanowił jego maleńką część, ptaki i zwierzyzna trzymały się z daleka. O tej porze roku las

był z natury cichy i uśpiony, ale tu brak dźwięków aż dzwonił w uszach.

Poczuła dreszcz na plecach, choć wciąż jeszcze była rozgrzana po szybkim marszu. Słońce schowało się za chmurami i dzień natychmiast zrobił się ponury. Wydawało się, jakby za kilka chwil miało zacząć zmierzchać. Nie mogła tu długo zostać.

Próbowała powspominać opiekuna, przypomnieć sobie te lepsze dni, które razem spędzili, porozmawiać z ojczymem, ale nie mogła się skupić. Zasmuciło ją też, że nie poczuła jego obecności. W czasie Dziadów i zwyczajowych obrzędów, którym towarzyszyły wizyty przodków, zdawała sobie sprawę z ich obecności, mimo że nikt ze zmarłych nie należał do jej rodziny. Tymczasem opiekun nie przychodził, by dać jej znak. Być może dlatego, że tam, dokąd odszedł, nie docierały myśli jego pasierbicy.

A być może dlatego, że nigdy nie odszedł?

Jego ciało ożyło po śmierci i zostało uśpione przez wbicie gwoźdźcia w czaszkę. Venda odprowadziła ducha na rozstaje i wypuściła w zaświaty. Ale czy to na pewno była prawda? Czy duch opiekuna w ogóle oddzielił się od ciała ożywienia?

Wzdrygnęła się na samą myśl, że pod płytą, w głębokim grobie, jej ojczym wciąż tylko drzemie, czekając, by kiedyś znów wyjść na świat. Uświadomiła sobie, że pewnie przyszedłby znów do niej i ta myśl przeraziła ją tak, że prawie zerwała się do ucieczki.

Oddychała szybko, a serce waliło jej w piersi niczym kowalski młot.

Zupełnie niespodziewanie ponownie poczuła dreszcz na plecach, a w myśli wdarł się cichy głos:

Słyszeliśmy o tobie, opiekunko.

Rozejrzała się, usiłując zachować twarz i nie okazać strachu. Nie dostrzegła nikogo. Słowa również docierały do niej tak słabe, że łatwo mogłaby je przegapić, gdyby nie przyszła tu gotowa na spotkanie. Podświadomie oczekiwała czegoś niezwykłego i chyba tylko dlatego, że jej zmysły były bardzo wyczulone, mogła nawiązać kontakt.

– Ja też o was słyszałam – powiedziała spokojnie, na powrót skupiając się na świecy. – Porwaliście dziecko.

Porwaliśmy? Przecież było nasze. To nasz syn, nasza krew. – W głosie czuć było dumę. – Chcesz nam go odebrać, opiekunko? Przecież jesteś słaba, nie masz nawet dość daru, żeby nas zobaczyć.

Spróbowali jej dotknąć, poczuła delikatny powiew lodowatego powietrza na policzku.

– Wy nie możecie mnie dotknąć – odparła kpiąco. – Jesteśmy kwita.

Tylko za dnia. Po zmierzchu nasza moc rośnie. Twój brak daru pozostanie brakiem.

– Nie byliście w stanie dobrać się do męża waszej kochanki, kiedy miał przy sobie amulety.

Ale byliśmy w stanie zabrać dziecko z chaty, którą nasza kochanka próbowała chronić.

Venda była przekonana, że Atra nie знаła się na amuletach tak dobrze, jak jej się wydawało, a z pewnością nie tak dobrze jak opiekunka. Nie miała jednak

zamiaru chwalić się tym przed demonami. Im niżej będą ją cenić, im mniej groźna będzie się wydawała, tym lepiej.

– Oddajcie chłopca matce – zażądała bez zbędnych emocji. – Potrzebuje jej.

Nie chciała zabrzmieć ani zbyt uniżenie, ani zbyt hardo. Nie wierzyła, by dało się odzyskać dziecko po dobroci, ale musiała choć spróbować. Upiory zaszemrały gniewnie.

Nigdy. Zdradziła nas, nie oddamy jej dziecka!

– Więc dajcie je mnie, jeśli tylko o to wam chodzi.

Nie! – Zawyły wściekle. – To dziecko wyrośnie na wielkiego męża i dokona wspaniałych rzeczy. Rzeczy, których ta dolina jeszcze nie widziała!

– Jeśli zamarznie w lesie, nie dokona niczego.

Upiory roześmiały się tylko.

Nie zamarznie, jego krew jest zbyt gorąca. To wyjątkowe połączenie.

Venda zrozumiała, że niczego w ten sposób nie wskóra, a nie miała zamiaru stawać w szranki z demonami tu i teraz. Nic o nich nie wiedziała.

– Kim wy do licha jesteście? – spytała wprost.

Ich śmiech brzmiał jak syk stada węży. Znów poczuła, że próbują jej dotknąć, i tym razem chłód upiornych palców był wyraźniejszy. Musiała się stąd zabierać, zanim nastanie ciemność.

Chcielibyśmy wszystko ci powiedzieć – odparł jeden z upiorów nieszczerze. – Pokutujemy tu za przewinienie wobec tego samego pana, któremu służysz.

– Wobec mojego pana? – zdziwiła się. – Roda?

Nic nie rozumiesz – znów rozbrzmiał śmiech. – Takich jak ty na tym cmentarzu jest wielu. Rozpoznajemy was po zapachu, wszak jesteśmy prawie rodziną.

– Tylko jeden opiekun został tu pochowany. W jaki sposób jesteście dla mnie rodziną?

Nie odpowiedzieli. Napawali się jej niezrozumieniem. Zielarka wiedziała, że są równie próżni jak Atra. Jeśli zada odpowiednie pytanie, będą chcieli odpowiedzieć tylko po to, żeby udowodnić swoją wyższość. Rzecz w tym, że nie wiedziała, o co spytać, by dowiedzieć się tego, na czym jej zależało. Zmarszczyła brwi. Nie rozumiała niczego, ale spróbowała zapamiętać to, co powiedział upiór, najdokładniej jak potrafiła. W jego słowach musiała kryć się odpowiedź.

Z daleka czuć cię wilkiem, opiekunko – głos rozbrzmiał tuż przy jej uchu.

– Bo mieszkam z wilkiem – odparła.

To też wiemy. Przemyśl, czy warto z nami walczyć. Może lepiej się do nas przyłączyć?

– Nie mylcie przyjemności z powinnością. Nie dajcie się zwieść pozorom.

Doprawdy?

Poczuła, jak ze złości krew występuje jej na policzki. Dawno już nikt nie traktował jej w taki sposób, nie sprawił, by czuła się zagubiona.

Nie przedłużając rozmowy, podniosła z ziemi swoją torbę z ziołami. Ruszyła ku wyjściu z cmentarza.

Uciekaj, opiekunko, uciekaj! – Upiory szydziły za jej plecami. – *Już wkrótce zapadnie noc!*

– Nie uciekam – odparła, siląc się na spokój. – Odchodzę. Do następnego spotkania.

Idź, opiekunko. Idź i czekaj mrozów. Oby nadeszły szybko!



Rozdział 3

Kiedy załśni twarz Chorsa

Myślała długo nad tym, co usłyszała. Próbowwała wyciągnąć wnioski, poskładać w całość to, co już wiedziała, przede wszystkim zaś znaleźć sposób, żeby odzyskać dziecko, najlepiej za dnia, gdy moc demonów była ograniczona.

– One nie potrzebują jeść, pić czy spać – myślała na głos, wertując księgi opiekuna. – Ale przecież muszą zapewnić to małemu, musi mieć ciepło, spać gdzieś, coś jeść. Nie rozplynał się w powietrzu, trzeba tylko znaleźć miejsce, w którym go chowają.

DaWern wygrzewał się przy palenisku, ni to słuchając, ni drzemiąc.

– Czar – rzucił zagadkowo.

– Co?

– Czar – powtórzył. – Mogli ukryć to miejsce i nie znajdziesz smarkacza, choćbyś przeczesła las krzak po krzaku.

Zasępiła się. Nie lubiła magii. Była jej obca i nieznana, nie chciała mieć z nią do czynienia.

– Skąd wiesz, że mają takie moce? – spytała niemrawo. – Chyba jeszcze niczego nie wyczarowali. To, co do tej pory robili, mieści się w granicach umiejętności demonów, tylko jeszcze nie wiem jakich. Pokonali amulety, bo widocznie to nie były amulety przeciwko tym akurat stworzeniom. Tak jakbyś użył liny z przytulii. Na topielca podziała, na strzygonia czy wilkołaka nie. Nie musisz mieszać w to magii. Wystarczy znaleźć odpowiedni środek.

– Proponuję srebro – mruknął sennie DaWern, nawet nie otwierając oczu. – Srebro zawsze działa. Srebro i odrąbany łeb.

Zielarka westchnęła ciężko. Odłożyła bestiariusz i sięgnęła po tomiszcze oprawione w czerwoną skórę.

– Łatwo powiedzieć – mruknęła. – Ich jest trzech. Przynajmniej tylu widywała Atra. Nie jestem dość dobra, żeby odrąbać trzy głowy naraz. Nawet zakładając, że w ogóle bym je dostrzegła, to po pierwsze. Opiekun o tym pisał, mam niski potencjał magiczny. Zbyt wiele zdrowego rozsądku, na magię nie ma już miejsca. Oczywiście pewnie moglibyśmy spróbować, ty jesteś przynajmniej szybki, ale twoje kły nie wyglądają na srebrne.

To był żart, ale wilkar nawet się nie uśmiechnął. Otworzył natomiast oczy i spojrzał na dziewczynę poważnie.

– Nie, Ven. Na mnie nie licz.

Zielarka osłupiała.

– Jak to? Nie pomożesz mi?

– Nie tym razem.

– Dlaczego?

– Nie powinnaś się babrać w tej sprawie – odparł, zamykając ślepia. – Dziecko to dziecko, niejedno ginie w lesie, umiera przy porodzie czy topi się w sadzawce. Nie będę ryzykował życia dla jakiejś suki i jej bachora. Ty też nie powinnaś.

– Wiesz dobrze, że muszę.

Wilkar odwrócił głowę, udając, że zasypia. Dotychczas starał się trzymać z daleka od demonów z Cmentarza Wyklętych, ponieważ, w przeciwieństwie do Vendy, znał ich historię. Zdawał sobie sprawę, że nie powstrzyma opiekunki i że pewnie przyjdzie moment, kiedy będzie musiał włączyć się w walkę między nią a demonami i dokonać wyboru strony. Na razie postanowił odwlec ten moment i poczekać, czy sprawa nie wyjaśni się sama, bez jego udziału.



Tuż przed następną pełnią Venda wciąż wiedziała tyle samo. DaWern nie chciał jej pomagać, najczęściej milczał, gdy powracała do tematu dziecka. Czuła, że najchętniej zabroniłby jej zajmować się tą sprawą, ale nie miał takiej mocy.

Mimo wszystko układało się im wspaniale. Najbardziej leniwa z pór roku sprzyjała wspólnemu przesiadaniu w chacie, grzaniu się przy palenisku i baraszkowaniu gdzie popadnie.

W pewien słoneczny dzień wilkar odsypiał nocne biegi z watahą wilków, a zielarka zabijała nudę, lepiąc na podwórku bałwana. Wyszedł pokracznie, bo prze-liczyła się z wielkością kul i tę teoretycznie najmniejszą z trudem wsadziła na górę. W efekcie śnieżny człowiek wyglądał jak garbus podparty na kosturze, dzięki któremu się nie przewracał. DaWern śmiał się, a gdy następnego ranka zielarka wyszła przed chatę, obok jej figury stała druga. Była mniejsza, pękata, miała cztery nogi i zbyt małą głowę, szpiczasty pysk i uszy.

– Ładna świnka – stwierdziła radośnie, wchodząc do chaty z wiadrem udoju. – Wyszła ci!

DaWern uśmiechnął się kącikami ust, powstrzymując rozbawienie i żując kaszę.

– Cieszę się, że ci się podoba. Pomyślałem, że nie możesz tak samotnie stać na mrozie, musisz mieć zwierzaka.

Venda zgłupiała na sekundę, ale zaraz się roześmiała.

– Co? Przecież to nie jestem ja!

– Nie? Niemożliwe, kropka w kropkę jak ty!

– Idź, głupku! – Zdzieliła go ścierką przez głowę, na co zarechotał, zadowolony z siebie.

Venda nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa. I tylko kot opiekunki coraz rzadziej pojawiał się w obejściu, najwyraźniej źle znosząc towarzystwo nowego mieszkańca. W końcu na dobre zadomowił się w obórcie i mało kiedy przestępował próg domostwa. W ten sposób podzielił teren między siebie a wilka.

Czas mijał szybko, a górale coraz częściej plotkowali na temat kapoty i wilkołaka. W gospodzie, w chatach,

w gościnie, przy posiłkach i wieczorami przed zaśnięciem wszyscy wciąż rozprawiali o dwóch durnych młodzieńcach i potencjalnym zagrożeniu. A im więcej gadali, tym bardziej przekonani byli, że jeden z chłopaków okaże się potworem, i tym mocniej się bali.

Venda gasiła płomyki ich gniewu, choć nie ustrzegła Irkego i Sadka przed łomotem, jaki spuścili im ojcowie. Nie czuła się w obowiązku pouczać bartnika i młynarza, jak mają wybijać głupotę z głów własnych dzieci, uznała więc rolę wychowawczą tego lania i przemilczała sprawę.

Na kilka dni przed pełnią zwołała naradę w gospodzie.

– Nie chcę żadnych gapiów – oświadczyła. – Irke i Sadko mają przyjść do mojej chaty i tam przeczekać aż do świtu. Żeby było jasne, ja wierzę ich słowom i myślę, że nie mamy się czego obawiać, ale jeśli się mylę, to chata na uboczu, daleko od waszych domostw, będzie najlepszym miejscem, żeby się o tym przekonać. Chłopaków unieruchomimy, ale na wypadek gdyby coś poszło nie tak, gdyby wilkołak się oswobodził, chcę, żeby nie było w pobliżu żadnych gapiów. Macie siedzieć w chatach, rozumiemy się?

Przez salę przeszedł zgodny szum poparcia. Venda stała na podwyższeniu niczym dowódca obwieszczający swym oddziałom plan bitwy.

– Żadnych głupot. Pilnujcie swoich dzieciaków, żeby nikomu do głowy nie strzeliło podkradać się i podglądać, bo mogą to przypłacić życiem. Powtórzę jeszcze raz: nie wierzę w wilkołaka. Ale gdyby jednak któryś

z nich się w niego zmienił, to postaram się, żeby nie opuścił mojej chaty. Gdybym nie dała rady, w swoich obejściach będziecie bezpieczni i doczekacie do rana. To tylko jedna noc, a potem wszystko będziemy wiedzieć.

Ludzie kiwali głowami, potakiwali gorąco i szemrali między sobą. O dziwo, nawet kowal i Stojan nie wprowadzali fermentu, stojąc z dala, w kącie, i przyśluchojąc się w milczeniu.

– To bardzo odważne z twojej strony, Vendo. – Jart podniósł głos, by być słyszany mimo rozmów. – Myślę jednak, że nie powinnaś stawać przeciwko wilkołakowi sama. Ktoś z nas musi iść z tobą.

Ludzie zamilkli jak nożem uciął. Słowa gospodarza zawisły w atmosferze lęku.

– Dziękuję, panie Jart. – Venda uspokoiła zgromadzonych, uwalniając ich od niewygodnego uczucia odpowiedzialności. – Jestem opiekunką, moją rolą jest właśnie stawać w pojedynkę przeciw potworom. Poza tym nie będę zupełnie sama. Mam wilkara.

– Jak to wilkara? – Kowal jednak nie wytrzymał. – Przecież on podobno nie żyje?

– I co to dokładnie znaczy, że go masz? – dorzucił jego brat chrapliwie. – Co tu się wyprawia za naszymi plecami, opiekunko?

Zielarka uniosła ręce, by ich uciszyć. Wiedziała, że nie będą zachwyceni, ale nie miała zamiaru ukrywać dłuższej powrotu DaWerna. Wołała, żeby ludzie usłyszeli o jego obecności od niej, niż gdyby Stojan i Zdamir mieli się przypadkiem dowiedzieć i użyć tego argumentu w najmniej spodziewanym momencie.

– Dajcie mi dojść do słowa, to wyjaśnię – przekrzywała braci.

Umilkli, choć niechętnie. Mieszkańcy doliny popatrywali to na nich, to na dziewczynę.

– Myślałam, że wilkar nie żyje, ale myliłam się – skłamała. – Żyje, pomaga mi i robi to z korzyścią dla nas wszystkich. Może dotrzeć tam, gdzie ja nie dam rady, zobaczyć czy wywahać więcej niż jakikolwiek człowiek. Zna lasy i żyjące tu potwory. Jest w stanie czuć nocą, kiedy my boimy się wychodzić za drzwi.

– Widzę, że przez naszą opiekunkę przemawia wielkie uczucie! – Zdamir wetknął kciuki za opinający brzuszysko pas i potoczył po zebranych jadowitym spojrzeniem. – Nie widzicie, ludzie, na co się zanosi? Lada moment potwór będzie z nami w najlepsze biesiadował, święta obchodził, a w kupalnockę pewnie z naszą opiekunką przez ogień sobie skoczy!

– Kowalu, to nie jest czas na podjudzanie – próbowała przerwać dziewczyna.

– Jakie podjudzanie? Nieprawdę może mówię?

– Prawdę. Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie się stanie.

Zamurowało go. Z rozpędu otworzył usta, gotowy odpowiedzieć na jej ripostę, zanim ją usłyszał, ale gdy przytaknęła, zupełnie stracił orientację.

– Niepotrzebnie zmuszasz mnie do poruszania tak trudnego tematu w momencie, gdy wszyscy musimy się zmierzyć z pełnią i być może z wilkołakiem. Moje sprawy z wilkarem w ogóle nie powinny teraz zaprzątać naszych myśli. Chciałam tylko, żebyście wiedzieli,

że jednak żyje i nadal mam go po swojej stronie. Wiem, że was przeraża i pewnie słusznie, bo nie jest do końca taki jak my.

– Bez ogródek, opiekunko! – wybuchnął znowu Zdamir. – Jesteś jego kochanicą czy nie?

Venda z trudem opanowała wściekłość. Wiedziała, że gdyby wybuchła, zrobiłaby tylko przyjemność swoim wrogom. Opanowała się.

– Chyba można uznać, że coś nas łączy, tak – przyznała.

W gospodzie zawrzało. Część zebranych patrzyła na zielarkę w złości, część w strachu, ale nikt nie patrzył ze zrozumieniem.

– Oszałałaś? – szepnął Jart ze swego miejsca przy filarze. – Nie mów im takich rzeczy!

Potrząsnęła głową zdecydowanie. Popatrzyła na swych sąsiadów, czując, jak oprócz niepokoju i gniewu wzbiera w niej również żal. W końcu niejeden z nich spotkał na swej drodze demony, potwory, duchy, ludzie żenili się z wiłami, wychodzili za chmurników, a jej jednej nie wolno było układać sobie życia, z kim chciała.

Bo oni mądrze milczeli, pomyślała gorzko. A ja, głupia, wystawiam się sama do bicia. Tylko że nie byłabym w stanie ukryć przed nimi DaWerna. I tak by się dowiedzieli.

Najważniejsze to nie pozwolić im się za dużo domyślać. Wyprzedzać ich lęki.

– Posłuchajcie! – przekrzyczyła gwar. – Dlaczego jesteście tacy zdziwieni? Przecież od tego jestem,

by przyciągać potwory. Wiem, że plotkujecie o mnie i wilkarze od lata. Czy wydarzyło się w tym czasie coś, czym zasłużyłabym sobie na utratę waszego zaufania?

Poszemrali cicho.

– Nie – padło niespodziewanie głośno z samego środka sali.

Wszyscy spojrzeli na Kostjana. Rudzielec odważnie zniósł wzrok sąsiadów, a potem ruszył ku podwyższeniu, na którym stała zielarka. Przepuszczono go i już po chwili znalazł się obok zaskoczonej dziewczyny. Wiedziała, jak bardzo szanowano go w dolinie. Najlepszy gospodarz, mądry, sprytny, rozsądny. Tego, że kiedyś zmusił wilę, by została z nim na całe życie, nie wiedzieli. Dziś stawiali tę wilę za wzór gospodyni swoim córkom i synowym.

Kostjan przelotnie spojrzał opiekunce w oczy, nim odwrócił się do ludzi.

– Sąsiedzi, nie wiem, po co niektórzy szkodzą opiekunce, ale nie dajcie się im rozjuszyć. Venda uratowała mi życie i zawsze będę jej wdzięczny. Zrobiła dla doliny wiele dobrego, a nie minął jeszcze rok, odkąd złożyła przysięgę. Za kilka dni pełnia, dziewczyna chce sama stawać przeciw wilkołakowi, żeby nas ochronić, bez narażania życia pomocników. Nie widzicie, jak ciężkie wypełnia zadania? Czy ktoś z was chciałby znaleźć się na jej miejscu?

Mieszkańcy doliny zaczęli popatrywać po sobie, ale widać było, że nikt się na ochotnika nie zgłasza. Większość poczuła wstyd z powodu wcześniejszego wybuchu, bo Kostjan cieszył się wielkim respektem. Tylko

kował założył ramiona na piersi i kręcił głową, wciąż wściekły.

– Ale ten o wilczych oczach... – zaczął Stojan, unosząc oskarżycielsko poplamioną krwią chustkę, w którą swoim zwyczajem pokasywał cały wieczór.

Kostjan nie dał mu się rozpędzić.

– Ten o wilczych oczach jest sam. Jeden. Pokonamy go wspólnymi siłami, jeśli zawiedzie nasze zaufanie.

– Jeśli tak się stanie, sama wam pomogę – dodała Venda. – Bezpieczeństwo doliny jest najważniejsze, ale nie każdy potwór jest dla niej zagrożeniem. Wiele z nich żyje wokół nas i nigdy nie wchodzi nam w drogę.

– Tak, niektóre potwory są pewnie bardziej ludzkie niż kilku znanych mi ludzi – cierpko podsumował rudzielec. – Dajmy Vendzie robić to, co robi. Jak zdobywa sojuszników, to nie nasza sprawa.

– Pięknie to ująłeś, Kostjan. – Zdamir machnął gniewnie ręką, ruszając ku wyjściu z gospody. – Oj, ludzie, ludzie! Poczekajcie, aż wam opiekunka mieszańca urodzi. Ciekawe, kto wtedy będzie z nim walczył. – Trzasnął drzwiami, znikając złowroźnie w ciemnościach wieczoru.

Jego syn Restko i brat Stojan również przepychali się do wyjścia, nie nadążając za kowalem. Ludzie odprowadzili ich spojrzeniami, pod którymi uciekinierzy czuli się niezręcznie.

– Nie musicie wychodzić – próbowała ich zatrzymać Venda. – Restko, poczekaj. Panie Stojan, przecież jesteśmy wszyscy po tej samej stronie. Pan ceniał mojego ojczyma, prawda?

Suchotnik nie odpowiedział. Obaj mężczyźni zawahali się dostrzegalnie, jednak zdecydowali podążyć za najsilniejszym w ich stadzie.

– Nie dajcie się przestraszyć, ludzie. – Kostjan łago-
dził tymczasem ponury wydźwięk ostatnich słów ko-
wala. – Myślmy o najbliższej pełni i o wilkołaku. Daj-
my Vendzie załatwić to po swojemu. – Położył dłoń na
ramieniu dziewczyny w ostatecznym geście poparcia.

Ludzie zaszumieli, kiwając głowami, a jeśli ktokol-
wiek jeszcze się wahał, bał lub gniewał, zachował to
dla siebie.

Kiedy zebranie się skończyło, górale ruszyli do do-
mów lub zaczęli ustawiać na powrót ławy, by móc na-
pić się piwa i przedyskutować sytuację. Venda poczuła,
jak opuszcza ją zdenerwowanie, którego nawet sobie
nie uświadamiała. Podeszła ku zbierającemu się do
wyjścia Kostjanowi.

– Bardzo dziękuję. Zjedliby mnie żywcem.

– Nie ma za co – odparł. – Zdamir niepotrzebnie
sieje strach tą swoją wieczną nienawiścią do wszyst-
kich i wszystkiego, a ludzie potrzebują poczucia bez-
pieczeństwa.

Rudzielec narzucił kozuch na plecy i rozglądnął się
za jakimś towarzystwem w drodze do chaty.

– Mam wobec ciebie dług, którego prędko nie spła-
cę – dodał, spoglądając na Vendę przyjaźnie. – Wiem,
że wcześniej nie przepadalіśmy za sobą. Nie, nie mu-
sisz zaprzeczać, nie w tym rzecz. Właśnie dlatego we-
dług mnie dowiodłaś, że stoisz za każdym z nas, i dla-
tego ci wierzę. Oni wszyscy też chcą uwierzyć. Zresztą

– nachylił się konspiracyjnie – wiesz, ilu z nich ma na sumieniu żonę wilę albo złego wilka w obejściu?

Mrugnął porozumiewawczo, a zielarka odwzajemniła uśmiech. Pożegnali się, po czym dziewczyna potoczyła spojrzeniem po gwarzących głośno, pijących sąsiadach.

To prawda, pomyślała. Nie mam pojęcia, co przede mną ukrywają.



DaWern wiedział, że obawiała się chwili, gdy ludzie odkryją ich związek. On sam nie bał się wieśniaków i nie wierzył, żeby mogli mu naprawdę zaszkodzić, ale starał się zrozumieć Vendę. Musiał przyznać, że przyjemnie było mieszkać w ciepłej chacie, jeść więcej niż jakiegokolwiek zimy wcześniej i zasypiać u boku kobiety. Jednak dostrzegał konsekwencje, jakie ich wspólne życie mogło nieść dla opiekunki, i gdy opowiedziała mu o zajściu w gospodzie, był zaskoczony, że przyznała się do niego tak odważnie.

Relacjonowała zebranie, zagniatając ciasto na podłomyki i wyładowując na nim wzburzenie. Mężczyzna słuchał bez słowa, nie przerywając, śledził tylko jej ruchy w zadumie.

W końcu podszedł, objął ją od tyłu i pocałował w ubrudzoną mąką skroń.

– Kiedy cię poznałem – powiedział czule – patrzyłem na to, co robisz, i wydawałaś mi się strasznie nie-mądra.

– Dziękuję – burknęła. – Podnosisz mnie na duchu, jak zawsze.

Roześmiał się cicho.

– Poczekaj, to miał być taki początek, żebym mógł potem powiedzieć coś miłego.

– Aha, dobra. No to mów.

– Ale zepsułaś wszystko, teraz już nie zabrzmiało tak ładnie.

– Dlaczego? Nie, powiedz. Słucham. – Okręciła się w jego ramionach i zadarła głowę, by spojrzeć wilkarowi w oczy. – Skończyłeś na tym, że jestem głupia.

DaWern wywrócił ślepiami niczym męczennik.

– Nie że jesteś głupia, tylko że kiedyś byłaś niemądra. Przynajmniej tak mi się wydawało, bo ja robiłbym wszystko inaczej niż ty.

– A teraz jestem mądra, tak? To chciałeś powiedzieć?

– Nie.

– Nie? Podobno miałeś mówić coś miłego.

– Tak, ale nie to, że jesteś mądra. – Wyszczерzył się, a znajome iskierki złośliwości błysnęły w złotych oczach. – Chciałem powiedzieć, że jesteś dzielna. Robisz to, co uważasz za dobre, a nie to, co jest wygodne.

Spowaźniała, spuściła wzrok i przez sekundę milczała, skubiąc końcówki sznurka w dekolcie koszuli DaWerna.

– Sama już nie wiem – bąknęła w końcu – czy to odwaga, czy głupota, ale dziękuję.

Nie chciała narzekać, więc powstrzymała się przed wypowiedzeniem wszystkich wątpliwości. Tego, że nie

wie, jak długo wytrzyma stanie okrakiem nad palisadą, pomiędzy wsią a wilkarem, i że czasami marzyła się jej zwyczajna rodzina, z dziećmi i małym poletkiem, bez poczucia odpowiedzialności za cały świat. Wiedziała jednak, że życie składa się z wyborów i nie ma innego wyjścia, jak tylko płynąć z nurtem rzeki czasu i na bieżąco radzić sobie z zakrętami.

– Jesteśmy bardzo różni. – DaWern przytulił dziewczynę mocno. – Ja postąpiłbym inaczej niż ty. Spodziewam się, że będzie nam kiedyś bardzo trudno ze sobą wytrzymać.



Gdy nadeszła noc pełni, wszystkie niesnaski między opiekunką a mieszkańcami doliny zeszły na dalszy plan. Nawet ci, którzy z obawą myśleli o jej związku z wilkarem, czuli ulgę, wiedząc, że ktoś bierze za nich odpowiedzialność w kwestii wilkołaka. Venda miała tylko nadzieję, że ludzie posłuchają głosu rozsądku i grzecznie przeczekają noc w domowych pieleszach. Nie miała ochoty na niespodzianki.

Księżyc miał wzejść tej nocy późno i szczęśliwie na krótko. Venda była wdzięczna Chorsowi, że pokaże swą twarz, by wilkołak mógł się zmienić, lecz miało to trwać tylko tyle, że jeszcze można się było zdrzemnąć.

Chłopcy przyszedli tuż przed zmierzchem, odprowadzeni przez ojców i brata młynarczyka. Milcząca grupka wkroczyła na podwórko zielarki przez niedomykającą się bramkę. Sadko dumnie trzymał głowę, starając

się nie pokazać zdenerwowania. Zaciskając usta w wąską kreskę, odważnie spojrział w oczy opiekunce i przywitał się skinieniem. Tymczasem Irke włókł się nogą za nogą ze zwieszoną głową, najwyraźniej zmęczony i zrezygnowany. Gdy uniósł oczy, Venda zobaczyła w nich niemal zwierzęcy lęk. Wiedziała, że chłopak zadreślał się od samych Godów i choć wciąż powtarzał, że nie założył kapoty, coś w jego zachowaniu nie pozwalało do końca wierzyć tym zapewnieniom.

– Jesteśmy – oświadczył Gostowit. – Gdzie mamy ich zaprowadzić?

Ojcowie wyglądali na równie zmęczonych jak synowie. Kilka tygodni udręki odbiło się na męskich twarzach.

Otro, najstarszy syn młynarza, szturchnął Sadka i poszeptali między sobą, a Venda wiedziała, na kogo patrzą. Obok chaty, tuż przy ławeczce, siedział wielki, szary wilk. Młodzieńcy najwyraźniej nie mogli się zdecydować, czy ten widok przeraża ich, czy fascynuje. Jedno było pewne, reszta wsi z pewnością jutro o tym usłyszy, ale opiekunka nie widziała już powodu, żeby wilkar nie miał jej otwarcie towarzyszyć. Upредиła ich przecież, że tak właśnie będzie.

– Musimy was rozdzielić, wiadomo – zaczęła spokojnie przedstawiać plan. – Jeśli ktokolwiek ma się przemienić, to nie wydamy mu przecież drugiego z was na pożarcie, prawda? Sadko, ty pójdziesz do chaty, Irke, ty do obórki.

Długo nad tym myślała, ale w końcu stwierdziła, że prędzej to bartnik może zostać wilkołakiem, więc

w obórcie wyrządzi mniej szkód niż w chacie. Jeśli to możliwe, wołała uniknąć porozbijania wszystkich naczyń i zniszczenia dobytku. Krowę zaprowadziła do Kostjana, który na tę noc upchnął skołowane zwierzę pomiędzy swoimi własnymi. Co cenniejsze sprzęty wyniosła na zewnątrz chaty, a na środku podwórza rozpałała ognisko, przy którym poprosiła Welesa, wilczego pasterza, pana zaświatów, o pomoc i opiekę.

– Będziemy przy was czuwać – ciągnęła. – Dopóki księżyc nie wejdzie, nic się nie stanie. Kiedy zaśni twarz Chorsa, zobaczymy, co się wydarzy. Oby nic.

– Nic się nie stanie – chrapliwie burknął Sadko. – Mówiliśmy prawdę od samego początku!

Opiekunka skinęła spokojnie głową, badawczo spoglądając chłopakowi w twarz. Próbowwała odgadnąć, co wywołało ogień w jego oczach i nerwowość w ruchach. Czy to tylko strach, czy może coś więcej?

– Nikt nie mówi, że kłamiecie – powiedziała.

– Jeszcze tylko jedna noc, synu. – Młynarz poklepał Sadka po ramieniu. – Wszystko będzie jasne, jak tylko wejdzie księżyc. Rób jedynie, co każe Venda, nie myślaj głupot.

Młynarczyk obruszył się dumnie, jakby słyszał te słowa wielokrotnie.

– To niesprawiedliwe, nic złego nie zrobiliśmy – mruknął.

Wastir pokręcił tylko głową, a zielarka wiedziała, że pewnie odbywali podobne rozmowy dzień w dzień od Godów.

– Jak to nie zrobiliście? – mruknęła. – Zbezczęściliście wilcze święta, ukradliście kapotę, przeraziliście wszystkich sąsiadów, niemalże uwolniliście magię zaszytą w skórach. Doprowadziliście siebie i nas do chwili, w której nie wiemy, czy możemy czuć się bezpiecznie w waszym towarzystwie. A to wszystko z głupoty i dla żartu. Nic nie zrobiliście?

Irke chlipnął pod nosem, ojcowie groźnie zmarszczyli brwi i nawet Sadko odwrócił wzrok, zmieszany.

– Durnie – wypluła z pogardą. – Lepiej już milczcie. Panie Wastir, weźcie Sadka do chaty. Zwiążcie mu ręce za plecami, nogi razem, a potem wszystkie członki dodatkową liną. Przy drzwiach jest żelazne oczko, wiązaliśmy tam krowę jednej zimy. Teraz przywiążemy chłopaka. Innego pomysłu nie mam.

Mężczyzna skinął głową i ruszył z synem do drzwi. Młynarczyk zwiesił głowę w ciszy. Nie wyglądał, jakby miał jeszcze protestować. Wilk łypnął podejrzliwie, gdy mijał go zrezygnowany chłopak wraz z bratem i ojcem.

– A my idziemy do obórki – zarządziła opiekunka, machnąwszy na Gostowita i Irkego.

Ruszyli za nią. Młody bartnik nie stawiał oporu. Bez słowa sprzeciwu dał się skrępować i ciasno przywiązać u żłobu. Zielarka litościwie przygotowała mu posłanie ze świeżej słomy. Gostowit po raz ostatni sprawdził więzy i z ciężkim sercem położył dłoń na ciemnych włosach Irkego.

– Niech się bogowie zlitują nad tobą, synu – wydusił przez ściśnięte gardło.

Zdruzgotany chłopak tylko zamknął oczy i zaciśnął mocno powieki, by powstrzymać łzy. Nawet opiekunce żal było na niego patrzeć.

– On tego nie zrobił – mruknął Gostowit, gdy razem z dziewczyną wracał już na podwórze. – Jego skrucha jest szczerą, znam go, to moja krew. Boi się tylko. Przecież jak młynarczyk by się w wilkołaka zmienił, to ten jak związana świnia tam leżeć będzie. A jak potwór przyjdzie do niego, to się nie będzie miał jak bronić!

– Zaraz, zaraz, sąsiedzie! – oburzył się Wastir, nadchodząc wraz z Otreem od strony chaty. – Sadko tylko pomagał w tej całej hecy, więc se nim gęby nie wycierajcie! Raczej się o swojego martw. Widać gołym okiem, że wie, co się z nim stanie, jak księżyc wzejdzie! Dlatego taki zestrachany.

– Twój chłopak całą tę hecę wymyślił! Zresztą, ja nikogo nie oskarżam. – Gostowit uniósł dłonie w obronnym geście. – Ale mój jak trusia cichutko siedzi, a waszego aż roznosi z gniewu. Normalne to?

– Przestańcie, już! – Venda weszła między nich, wściekła. – Jeszcze mi tu waszych kłótni potrzeba! Trudna noc przed nami. Jutro rano wszystko będzie jasne. Jeśli wierzycie swoim synom, to nie macie się o co martwić. Są pod moją opieką. Jeśli ktokolwiek zmieni się w wilkołaka, zginie natychmiast, nim jeszcze zdąży się przepotworzyć i nabrać siły. Ale przecież wierzymy, że mówili prawdę, tak? Na waszym miejscu czekałabym spokojnie.

Przytaknęli, tłumiąc gniew. Sytuacja wszystkim dała się we znaki, a najbardziej czekanie do pełni w niepewności, oskarżeniach, pod nieufnymi spojrze-

niami sąsiadów. Każda z rodzin odczuła echa głupoty młodych i wszyscy byli już bardzo zmęczeni.

– Ja też chcę to już wyjaśnić. – Zielarka uśmiechnęła się krzepiąco. – Rozumiem wasz strach i gniew. Ale to już naprawdę prawie koniec. Idźcie odpocząć i pozwólcie mi robić to, co do mnie należy.

– Tak, chodźmy – zreflektował się Wastir. – Otro, ruszaj. Powodzenia, Vendo. Uważaj na siebie.

– Wybacz te niepotrzebne słowa. – Gostowit skłonił się niezręcznie. – Niech cię Weles ochrania.

– Dziękuję, do zobaczenia o świcie.

Skrzypnęła wiklinowa furtka i trzech mężczyzn odeszło ścieżką w stronę wsi. Dopiero wtedy DaWern podszedł powoli ku ognisku i przyjął ludzką postać.

– Jak ty z nimi wytrzymujesz? – mruknął, sięgając po przygotowaną nieopodal futrzaną pelerynę.

– To tylko ludzie. – Opiekunka wyciągnęła dłonie ku ciepłu płomieni. – Przeżywają to bardziej niż my. Chodzi w końcu o ich dzieci. Na Roda, nie mogę na ciebie patrzeć, naprawdę nie jest ci zimno?

– Nie. – DaWern wzruszył ramionami niczym trzepoczący skrzydłami wielki ptak, pokryty futrem zamiast piór. – Chyba inaczej odczuwamy chłód. Jesteście delikatniejsi. Słabsi. Jak we wszystkim.

– Yhm. – Uśmiechnęła się kącikiem ust. – To nie ja jestem ostatnią ze swojej rasy.

– Zwiążali go mocno – zmienił temat, puszczając przytyk mimo uszu – ale jeśli zmieni się w wilkołaka, nie powstrzymamy go na dłużej niż oddech czy dwa. Rozeprze piersiami więzy. Srebro by się przydało.

– Nie mam srebrnych łańcuchów. Skąd miałabym wziąć? W całej dolinie nie ma tyle kruszcu. Mamy raptem kilka noży i sztyletów, jakieś błyskotki i tyle. Opiekunowie zbierali wszystko, co udało im się zdobyć, ale jeśli nawet jakiś handlarz zapędza się w dolinę, to raczej przywozi tkaniny, dziwne jedzenie, którego nie da się nawet powąchać na trzeźwo, jakieś drobiazgi dla dziewczuch. Broń niekoniecznie, a srebrną niezwykle rzadko. No i trunki. Chyba po to, żeby można było przełknąć to jedzenie.

– No to z łańcuchów nici. Daj lepiej jakiegoś miodu czy piwa. Co tak będziemy o suchym pysku siedzieć.

– Oszalałeś? Musimy mieć trzeźwe umysły. To nie przelewki – zrugła go.

DaWern wydał usta jak naburmuszone dziecko.

– O, bogowie. To będzie długa noc. Na pewno nie chcesz, żebym ich zagryzł? Po co czekać, ryzykować, odmrażać sobie tyłki po nocy? Szast-prast i będzie po kłopotcie.

Po spojrzeniu, którym go poczęstowała, poznał, że się nie zdecyduje.

– Lepiej patrz w niebo – powiedziała tylko. – Nie możemy przegapić tej chwili.

– To może pilnujemy ich w środku. Ja jednego, ty drugiego.

– Muszę doglądać świętego ognia i modlić się. Jak chcesz, możesz sprawdzić, co u nich, tylko żeby ci czasem nie przyszło do głowy uwalniać mnie od kłopotu na własną rękę.

Wzruszył ramionami i położył się na boku tuż przy ognisku.

– Jak tak, to mi się nie chce – skwitował i zagapił się w niebo, szukając wschodzącego księżyca.

Venda obserwowała, jak powieki powoli opadają mu na oczy. Lada moment spodziewała się usłyszeć chrapanie.

– Czy ty się w ogóle nie boisz tego, co się może stać? – nie wytrzymała w końcu.

Ocknął się szybko.

– Hmm, czuję lekki niepokój, tak – przyznał po chwili. – Ale pogodziłem się z myślą, że musisz wszystko zrobić po swojemu, więc jak zwykle postaram się być blisko i ratować twój apetyczny tyłek, jak będzie trzeba. Przecież nie pozwoliłaś mi załatwić sprawy po mojemu.

– Ale... – zaczęła i zawahała się. – Ja nie wiem, czy mam rację. Być może za chwilę jeden z nich stanie się wilkołakiem, nie zabijemy go na czas, uwolni się, pozbija nas i pobiegnie w siną dal!

DaWern usiadł, stłumił ziewnięcie. Ognisko grzało rozkosznie, zachęcając do drzemki.

– Strach jeszcze nigdy mi nie pomógł – stwierdził. – Chłodna głowa sprawdza się lepiej.

Trudno jej było w to uwierzyć, bo dobrze знаła gwałtowność wilczej strony jego natury. Westchnęła jednak tylko i postanowiła również zebrać się w sobie, opanować lęk, nie myśleć zbyt wiele, skupić się.

DaWern widział, jaka była spięta. Wrzuciła w płomienie jakieś zioła i przymknęła oczy, szepcząc modli-

twy. Patrzenie na dziewczynę sprawiało mu przyjemność. Rozpogodził się, senność gdzieś uleciała.

– Jak radziliście sobie z wilkołakami do tej pory? – spytał, gdy skończyła przemawiać do swoich bogów.

– Czekaliśmy, aż będziemy pewni, kogo trzeba zabić – odparła. – A potem zabijaliśmy go, gdy był już w ludzkiej postaci. Opiekun uczył mnie nigdy nie atakować wilkołaka, nie ryzykować życia, uciekać. Żaden człowiek nie jest dość silny. Nawet zbrojni za górami, żołnierze, wojowie, rycerze mają problem z taką bestią, co dopiero my, w dolinie. Ale nie opowiadano mi nigdy o sytuacji takiej jak ta, żeby podejrzenie o wilkołactwo nastąpiło jeszcze przed pierwszą zmianą. Dlatego jeśli kiedyś pobiegiesz za góry, to wiesz przynajmniej, jaki prezent mi przynieść.

– Różę o błękitnych płatkach?

– Srebrne łańcuchy.

Skinął głową.

– A więc jednak błyskotki.

– Łańcuchy! – roześmiała się. – To są błyskotki?

– Jaka kobieta, takie błyskotki. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. A potem mrugnął do niej, zadowolony, że choć na moment się rozluźniła.

Venda dorzuciła kolejny pęk ziół do ognia i powiodła wzrokiem za dymem ulatującym ku czarnemu niebu. Noc była mroźna, niebo bezchmurne, obsiane gwiazdami, za którymi widać było kolejne gwiazdy. I kolejne. Od samego patrzenia kręciło się w głowie.

DaWern wciąż obserwował zielarkę. W dłoniach obracał srebrny nóż, który młody kowal podarował

w zeszłym roku opiekunce. Wydawało się, że to wszystko działo się całe lata temu. Od tamtej chwili wilkar zdążył umrzeć i wrócić zza Sinych Wód. Wszystko z powodu tej dziewczyny. Nie była najpiękniejszą, jaką w życiu widział, ale miała w sobie coś, co przyciągało go, wabiło i sprawiało, że choćby świat miał spalić i roznieść w perzynę, jej chciałby się kłaniać. A im dłużej z nią był, tym piękniejsza, ponętniejsza i bardziej magiczna mu się zdawała. Z trudem przychodziło mu dzielenie się nią z resztą doliny.

Blask płomieni odbijał się w jasnych oczach opiekunki, wzniesionych ku niebu w skupieniu. Głaskał zaróżowione ciepłem policzki i rozchylone jak do pocałunku usta. Z mokrych szczap drewna strzelały iskry, jakby ogień również chciał wyciągnąć dłonie ku dziewczynie, dotknąć długich, ciemnych włosów, które zielarka zaplotła rankiem w ciasne warkocze nad skroniami, złączone z tyłu głowy w jeden i związane czerwoną tasiemką.

Mężczyzna przekrzywił głowę, urzeczony widokiem. Przez myśl przemknęło mu, że dziewczyna wygląda w tym momencie niczym wilkarka. W jej spojrzeniu była jakaś determinacja i tęsknota, jakby z półotwartych ust miał się lada moment wydobyć chropawy skowyt.

Drgnął na tę myśl. Opanował go nagły niepokój. Spojrzał za wzrokiem Vendy i jednym ruchem zrzucił z siebie futrzaną pelerynę.

Księżyc w pełni wyłaniał się spod linii drzew niczym zwiastun nieszczęścia. Dzikość błysnęła we wzroku dziewczyny, grymasem przebiegła przez twarz.

DaWern skulił się, przyjmując wilczą postać. Rozum mówił, że nie sięgnie w ten sposób po nóż. Jednak serce wiedziało, że i tak nie byłby w stanie go użyć.

Venda zrzuciła z ramion płaszcz, rozwiązała pas z krajki i złapawszy sukienkę na wysokości ud, jednym ruchem ściągnęła ją przez głowę razem z gieźłem. Odychała chrapliwie, coraz szybciej, wciąż wpatrując się w księżyc rozszerzonymi oczami. Naga na tle płomieni wyglądała nieziemsko, władczo i groźnie. Zauroczony DaWern cofnął się niezdecydowany, opuszczając łeb nisko ku ziemi. Zachwyt mieszał się ze zdenerwowaniem. Wilkar miał jeszcze tylko kilka oddechów, by zabić opiekunkę i zapobiec przemianie.

Zielarka jęknęła z bólu, opadła na kolana, unosząc odruchowo dłonie do twarzy. Wilcze zęby rozpierały dziąsła, szczeka wydłużała się z trzaskiem. Sierść w mgnieniu oka pokrywała nagie ciało.

DaWern zerknął w stronę chaty. Wejście, tak jak drzwi do obórki, zatrzaśnięto na skobel. Zastanowił się, co zrobi, jeśli któreś z nich za chwilę wylecą z hukiem, wypuszczając drugą bestię.

Tak się jednak nie stało. Jedynym wilkołakiem, jakiego tej nocy widziała dolina, była opiekunka.

Nim skończyła przemianę, wilkar uniósł łeb i zawył donośnie. Wilkołak dołączył przy drugim oddechu. Skowyt poniósł się ku tarczy księżycy, chropawy, nieokiełznany, dziki. Odpowiedziały mu głosy wilków, a po chwili wataha obiegała już wiklinowy płot, miała się, poszczekując. Przybyły na wezwanie wilkara, ale bały się ognia.

DaWern ruszył truchtem ku stadu, licząc, że instynkt wilka pokona w bestii chęć mordy. Zresztą, nie było tu nikogo, na kim wilkołak mógłby wyładować trawiącą go żądzę.

Chodź, zapołuj z nami, zaprosił niemo wilkar.

Stworzeniu ogarniętemu obłędem nie można było rozkazywać, DaWern mógł jedynie mieć nadzieję, że samo zechce pobiec za watahą.

Bestia ciężko opadła na przednie łapy, niezdarnie stawiając pierwsze kroki w nowej skórze. Z każdym następnym nabierała jednak tempa i wprawy. W żyłach buzował gniew i pragnienie krwi. Z gardła wyrывał się skowyt. Wilkołak ruszył za watahą.

Twarz Chorsa lśniła na tle nieba.